Nr. 15 (1422). Warszawa, 11 Kwietnia 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Z dniem dzisiejszym *Prawdę* obejmuje nowa Redakcya. A obejmując kierownictwo najstarszego w obecnej chwili tygodnika postępowego, prowadzić go zamierzamy w duchu zasad Polskiego Zjednoczenia Postępowego, w przekonaniu, że w ten sposób służyć będziemy najistotniejszym interesom naszego kraju.

Najkulturalniejsze narody zrozumiały, że hasła, głoszące konieczność zdemokratyzowania społeczeństw i obrony interesów klas nieposiadających przy zsolidaryzowaniu ich z ogółem, że te hasła muszą przywodzić rządom i parlamentom, i że tylko po takich drogach kroczyć musi dalszy rozwój społeczny.

Wierzymy głęboko, że i nasz naród te prawdy niezłomne pojmie i urzeczywistni, oraz że wypisane one zostaną na sztandarze całej naszej polityki wewnętrznej, całej naszej działalności społecznej.

Wierzymy, że, gdy utrwalenie form konstytucyjnych Rosyi pozwoli na urzeczywistnienie naszych pragnień niezłomnych, będziemy w następstwie kroczyli śladami tych społeczeństw, które te prawdy sobie przyswoić zdołały.

Tymczasem zaś mamy obowiązek krzewić je wśród naszego społeczeństwa, winniśmy dążyć do tego, aby cała myśl polityczna kraju w dzisiejszej dobie przejściowej oprzeć się mogła na zasadach radykalizmu polskiego, zasadach, których wcielenie przyczynić się musi do wzrostu szczęśliwości powszechnej. To też stawiamy sobie za cel pracę na tak obranem polu.

Pismo nasze będzie też przedewszystkiem politycznem i społecznem. Lecz zarazem uwzględniać musi i będzie wszystkie dziedziny pracy kulturalnej, śledzić zamierza rozwój myśli postępowej we wszystkich krajach, aby stamtąd czerpać wskazówki dla własnej pracy twórczej. Uwzględniać będziemy prądy naukowe i artystyczne. Mamy niezłomne przekonanie, że *Prawda*, której przeszło ćwierćwiekowa owocna działalność najbardziej przyczyniła się do rozszerzenia idei postępowych w Polsce, jest najlepszym warsztatem dla naszej pracy—pracy, której przewodnią ideą będzie szczery patryotyzm, wolny od wszelkiej zaborczości nacyonalistycznej i oparty na sprawiedliwości społecznej.

Najwybitniejsi pisarze postępowi, z Aleksandrem Świętochowskim na czele, przyrzekli nam swoje współpracownictwo.

Redakcya.

POLITYKA i Życie społeczne

Gwałt pruski.

(§ 7).

W dniu 4 b. m. parlament niemiecki uchwalił znany § 7 rządowego projektu ustawy o związkach i stowarzyszeniach. Przepis ten, którego osnowa znana jest już z dzienników, zwrócony wyłącznie przeciw ludności polskiej, odejmuje naszym rodakom prawo przemawiania na zgromadzeniach publicznych w swoim języku ojczystym. Stanowi on ostatnie dotychczas ogniwo w barbarzyńskim łańcuchu „praw" wyjątkowych, za pomocą których zaborcza gorączka krzyżackiego plemienia usiłuje wydrzeć z żywej piersi narodu polskiego jego własną duszę i rzucić ten naród pod brutalne stopy dzikiej przemocy teutońskiej.

Zainaugurowana w słynnej, a tak niespodziewanej mowie toruńskiej Wilhelma II w r. 1882, walka przeciwko Polakom, prowadzona jest już od ćwierci wieku blisko z nieugiętą wytrwałością i konsekwencyą, zarówno przez rząd pruski w komisyi kolonizacyjnej, jak i przez hakatystyczny Ostmarkenverein.

Z ław ministeryalnych zapowiadają nam, że to jest tylko prolog, po którym ma nastąpić dopiero właściwa akcya. Z wyżyn Walhalli germańskiej pędzą rozszalałe Walkirye i z wściekłym zapałem otrąbiają światu muzykę przyszłości—wytępienie wszystkiego, co nie należy do wielkiego Vaterlandu.

Tym razem cios nie wypadł już tylko z machiawelskiej kuźni ministeryum pruskiego. Zatwierdzili go przedstawiciele, pochodzący z głosowania powszechnego całego ludu niemieckiego od podnóża Alp, aż do wybrzeży morza Bałtyckiego i Północnego. Uchwała 4 kwietnia przeszła głównie dzięki głosom zjednoczonych frakcyj wolnomyślnych, — i to jest fakt, który dla wewnętrznej ewolucyi konstytucyonalizmu niemieckiego może mieć najdonioślejsze znaczenie.

Nas bezpośrednio nie obchodzi bynajmniej, czy oburzone cynicznem szachrajstwem politycznem przywódców tak zwanego „freisinun" niemieckiego, postępowe warstwy narodu rzucą się w sieć organizacyi socyalno-demokratycznej, czy też zgodzą się na pozostawanie nadal w zręcznej kombinacyi bloku kanclerskiego. Tylko czterech deputowanych z całej frakcyi parlamentarnej wolnomyślnych, — z dawnej partyi Eugeniusza Richtera — głosowało przeciw ustawie. Wszyscy inni, a na ich czele wirtemberczyk dr. Payer i przywódca ludowej partyi wolnomyślnej Miller z Meiningen, którzy niedawno na wiecach zaręczali, że nigdy i za żadną cenę nie przeniewierzą się swemu wolnościowemu programowi, że nie zezwolą na jakiekolwiek wyjątkowe ograniczenia swobody zebrań ze względów nacyonalistycznych.

A jednak stało się inaczej.

Już przed rozprawą parlamentarną było wiadomem, że ks. Bülow potrafił za odpowiednią zapłatę wyjednać sobie kompromis z wolnomyślnymi. Mówiono o ustępstwach w zakresie reformy ustawy giełdowej. Na posiedzeniu zaś parlamentu dr. Payer tłómaczył stanowisko swojej frakcyi wobec § 7 koniecznością zamanifestowania zdolności radykałów do polityki realnej i zachwycony naiwnie wielką zdobyczą liberalizmu, jaką dla niego przedstawia ustawa o stowarzyszeniach, zgodził się na sponiewieranie równości obywateli wobec prawa i wprowadził radykalizm niemiecki na drogi, których nie śmiałby się czepiać żaden inny radykalizm w krajach zachodniego konstytucyonalizmu.

Wykazała się płytkość doktrynerskich aspiracyj Niemców do radykalizmu, którą kanclerz Bülow trafnie musiał zrozumieć gdy w pompnych naradach w Norderney przed ostatniemi wyborami powszechnemi porozumiewał się z nimi kolejno i zapewnił im z swej strony poparcie. Tem łatwiej mu to przyszło, że naród niemiecki nie jest i nie był nigdy przejęty zapałem do wolności politycznej. Zdaje się, ze psychologia tego ludu przedstawia tę właściwość, iż w niej góruje nad wszystkiem nieokiełznana żądza ekspansyi zaborczej podsycana wrodzoną im i starannie przez rządy hodowaną butą militaryzmu. Takie chwile w historyi Niemiec, jakie spotykamy w epoce *Tugendbundu*, gdy filozof Fichte śpiewał Marsyliankę w towarzystwie studentów, lub gdy z ław sejmu frankfurckiego w kościele św. Pawła rozległy się głosy wstrząsające w swoim czasie Europą, — chwile owe pozostały w życiu niemieckiem efemerycznem zjawiskiem i nie powtórzyły się więcej. Za to ideologia wolnościowa była przez nich starannie pielęgnowana i posługiwali się nią chętnie, głosząc w potrzebie braterstwo ludów i propagując najdalej sięgające teorye wiecznego pokoju, rozbrojenia powszechnego, związki masońskie i t. d. Czynili to zawsze w podstępnych zamiarach zdezorganizowania przeciwników, na których czychali, jak to wykazywał jeden z historyków francuskich wojny z r. 1870.

Ilekroć z góry wzniesiono przed ich oczami racyę stanu i realny interes Vaterlandu, szli zawsze posłusznie w kierunku, w którym prowadził ich Bismarck lub nieszczególny epigon jego Bülow. „Myśliciele" niemieccy potrafili przytem za każdym razem poprzeć swoją potulność argumentami mniej lub więcej marnemi swojej taniej doktryny.

Tak oto w d. 20 marca przy uchwalaniu haniebnego projektu wywłaszczenia Polaków słyszeliśmy w pruskiej Izbie panów. jak „wielki" reformator społeczny dr.

Henryk Zbierzchowski.

DWIE HARFY.

(Nowella).

Było to przed wiekami, a może przed godziną, gdy rozbudzona fantazya, jak napięta cięciwa łuku poczęła wyrzucać złociste strzały-majaki, strzały miraże... Uderzył dzwon na odjazd w marzenie... dalej włóczęgo na słodkie przygody, na ucieszne igraszki... siedmiomilowe buty włóż, w rękę weź kij podróżny i w kaptur niewidzialny ustrój rozwichrzoną głowę...

Noc... ciemności zwał nieprzenikniony otacza moją izbę; zadrżały stropy, domek mój rusza w podróż... i płynie już w przestwór, niby łódź na falach ciemności. Jeszcze coś smutnego włóczy się za mną... ktoś płacze... nie to deszcz dzwoni o szyby, to monotonnym szmerem grają krople dżdżu w rynnach, to wiatr jęczy w kominie... wlecze się za mną ostatnie wspomnienie mojej smutnej ziemi... tak trudno zapomnieć, tak trudno... wezmę ze sobą tę cząstkę melancholii, jak talizman ukryję ją pod sercem... niech śpi, niech się nie budzi, lecz niech będzie ze mną w złych i dobrych godzinach, w ucieszną podróży w krainę baśni, gdzie czeka mię tyle słodkich przygód, gdzie już uśmiecha się do mnie przez nieodgadnioną zasłonę jakaś królewska twarz, w złocistych włosów wieńcu, gdzie dzwonią mi pancerze rycerskich hufców, grają złociste lutnie, od miodu słodsze romanzery i gdzie pacholę płowowłose, z duszą od cudów rozdzwonioną słucha dziwnego szumu ponurych, ciemnych borów... Czas mu już iść... księżyc, odwieczny awanturnik do szyb mojego okna przylgnął srebrną twarzą... przez szpary mego domku przeświecają gwiazdy jak świętojańskie owady... a nawet biały szlak drogi mlecznej opiera się swym początkiem o framugę okna, i leży ogromny, nieskończony, na gwiazdach oparty tak blizko, tak bliziutko, że ręką zda się mógłbym go dosięgnąć... Siedmiomilowe wkładam buty, stroję swą głowę rozwichrzoną w bajeczny kaptur niewidzialny... I dłonią niecierpliwą otwieram okno mojej izby... Hej! przedemną światy nieskończone, zawrotne, nieprzebyte drogi, przedemną dzwonią gwiazdy złote, bieleje cudnie droga mleczna i pachnie zda się nieskończoność...

Wyciągam dłonie roztęsknione i w przestwór co u stóp mych leży, rzucam się głową na dół... w gwiazdy...

. . . .

Szumi odwieczny bór... a dziwny to szum. Nikt nie zna jego mowy, nikt nie zgadnie, co za moc porusza to nieskończone morze drzew, wrosłych czarną ścianą w pogodny, rozciągnięty aż gdzieś na krańce świata firmament niebieski...

Wiatr usnął, na niebie nie zoczysz ani jednej chmurki, gwiazdy wykwitają w przestworzu jak kwiaty na łące... A bór gra... Majestatyczny to dziwny szum... Rozpoczął się on gdzieś w najtajniejszych głębiach i szerzy się aż na krańce lasu... Rozkołysały się nieruchome konary, drgnęły listki zbudzone ze snu, zaskrzypiały gałęzie, poruszyły się leniwe czuby odwiecznych drzew i uderzają lekko o siebie... Jedne drzewa podają drugim ton... wątła osika drży listeczkami niby przelękniona, brzozy sze m

Schmoller a za nim cała falanga profesorów uniwersyteckich uzasadniali racyonalnie i naukowo konieczność niesłychanego środka eksterminacyi politycznej przeciw Polakom, — środka będącego krzyczącem zaprzeczeniem wszelkiej idei prawa, jawnym odwrotem na drodze kultury, którą Niemcy szczycić się pragną. Słusznie też na ostatnim wiecu polskim w Berlinie poseł Kościelski twierdził, że przez tak dzikie zgwałcenie podstaw współżycia państwowego i międzynarodowego, kultura niemiecka zniweczoną być może.

Wartość jej bezwarunkowo musi dziś inaczej być oceniana, niż to było w okresie, gdy mogli jeszcze łudzić świat swoją szczerością. Obecnie prawie wszędzie na nich się poznano i od dość dawnego już czasu cywilizowane ludy odróżniają starannie w kulturze niemieckiej to co przedstawia istotną wartość od plewy, która jest blichtren i fałszem, obliczonym zwykle na cudzą szkodę.

Polacy w parlamencie niemieckim znaleźli obrońców tylko w stronnictwie centrum, i u socyalistów. Przywódca centrum dr. Spahn lepiej wykazywał skutki polityczne zbrodniczej uchwały, niż ks. Radziwiłł, który z swej arfy patryotycznej nie zdołał wydobyć tonów głębszych i uroczystszych. Zwróciwszy się po staremu do Opatrzności i biblii nie uchwycił tam jednak piorunującej klątwy proroka gdy ten wieścił upadek i zgniliznę ciemiężcy...

Nie przystoi Polakom zadawalniać się wzruszaniem czuć ludzkości, sprawiedliwości i zdrowego patryotyzmu, gdy nad nimi wisi katowski miecz zapamiętałości niemieckiej. Walka jest jawnie wypowiedzianą, karty rzucone, dom nasz się pali, jak mówił w parlamencie szanowny poseł alzacki Delsor... Należy go ratować!

Ratunek może się wyrazić tylko w czynie, a czynem jest polityka...

St. Pyrowicz.

Dwie polityki

Rozpowszechnia się u nas twierdzenie, że jakikolwiek byłby skład i barwa naszego przedstawicielstwa w Petersburgu, nie osiągnęłoby ono żadnych realnych zdobyczy dla kraju, ani odwróciło żadnego ciosu. Niepodzielamy tego fatalistycznego poglądu. Nawet kiedy pozornie nic się nie zmienia w faktycznem położeniu, zyskuje się często, lub traci wiele, dynamicznie. Przygotowuje się grunt pod posiew lepszej przyszłości, lub grunt ten się zachwaszcza.

Dziś już tylko optymiści łudzić się mogą, że bilans dotychczasowej polityki nacyonalistycznego Koła polskiego równa się zeru, gorzka bowiem rzeczywistość stwierdza poważne minusy. Dyktatura nacyonalistyczna w Kole polskiem niestety innych skutków dać nie mogła. Nawet potężne i wolne narody nieprzechodzą bezkarnie gorączki nacyonalistycznej; opłacają ją uciskiem wewnętrznym i osłabieniem. Narody zaś ujarzmione i słabe, niedoceniające potężnej broni demokratycznego humanitaryzmu, uprawiające natomiast politykę „egoizmu narodowego", politykę „siły" i „interesu"—kują oręż przeciw sobie i oddalają chwilę swego wyzwolenia. Nie twierdzimy, że nacyonalizm polski był jednem z głównych źródeł nacyonalizmu rosyjskiego. Trudno jednak zaprzeczyć, że przyczynił się w znacznym stopniu do rozrostu i rozwoju nacyonalizmu w Rosyi i ułatwił znakomicie biurokracyi jej świadome usiłowania zaszachowania dążeń konstytucyjnych przez nacyonalistyczą dywersyę. Nacyonalizm polski oddał taką usługę nacyonalizmowi rosyjskiemu, jaką wyświadczył naszym prawdziwym Polakom nacyonalizm żydowski.

Koło polskie wyniosło z domu nienawiść do postępu i demokracyi, wstręt do wszelkiego radykalizmu; w Petersburgu rozumiało tylko wrogów swych nacyonalistów rosyjskich; psychologia stronnictw wolnościowych była mu zupełnie obca. Na przedstawicieli innych narodowości patrzyło, opierając się na wiedeńskich traktatach, również z góry. Było więc niezdolnem nawet do zapoczątkowania dwóch rzeczy, które, prowadząc politykę na dalszą metę, można było i należało uczynić: po pierwsze nie postarało się o pozyskanie trwałej sympatyi szerokich mas rosyjskich przez zaznaczenie wolnościowego stanowiska bez zastrzeżeń i podniesienie historycznego hasła „za waszą i naszą wolność"; po drugie nie zorganizowało i nie objęło kierownictwa wszystkich dążeń autonomicznych w państwie. Było ono niezdolne organicznie do wszelkiej szerszej polityki. Wyszłe z piwnicznej atmosfery ucisku, opanowane przez wązką nacyonalistyczną ideologię, z notorycznymi oportunistami na czele, musiało być w przemówieniach nieszczerem, w czynach małem. Lawirowało. Ze swoich barw urzędowych na pokaz wystawiało na przemian to białą, to różową, zależnie od tego z kim miało do czynienia.

Wobec „innoplemieńców", autonomistów odegrało legendową rolę piotrowej macierzy. Wierzyło w kuglarskie sztuczki dyplomatyczne, zapomniało, że wielkie kwestye polityczne rozstrzygają się przez szeroką opinię narodów nawet tam, gdzie pozornie decydują dyplomaci w gabinetach, że naród wobec narodu powinien stawiać żądania bez niewolniczej obłudy, szczerze i po męsku, z głęboką wiarą ojców naszych, iż tylko zwycięztwo demokracyi zarówno w Rosyi jak i na Zachodzie może zmienić radykalnie nasze położenie.

Kiedy się wyjaśnił stosunek wzajemny stronnictw w Dumie, Koło polskie wzięło ją za parlament ustalony, „normalny", i rozwinęło drogie Kołu hasło nacyonalistyczne, „politykę siły", ciesząc się naiwnie i roztrębując szeroko i z tryumfem swe dominujące stanowisko, moc przechylania szali na prawo lub lewo.

W trzeciej Dumie, zredukowane do drobnej garstki 11 posłów, Koło polskie straciło wszelką oryentacyę. Nicość haseł narodowo-demokratycznych okazała się w całej pełni. Jakże bowiem Koło mogło prowadzić politykę „siły" — bezsilne liczebnie i pod względem talentów parlamentarnych. Jakże miało mówić językiem „interesu" będąc „quantité negligeable" i nie mając nic do zaofiarowania. Instynktownie zamilczano i o egoizmie narodowym, by nie rozbudzać widocznego, drapieżnego egoizmu Rosyan. Słowem Koło polskie musiało odrazu rzucić cały swój bagaż ideowy do kosza. Nie mogło mówić szczerze, musiało zacząć mówić obcym sobie językiem, lub milczeć. Ta przymusowa bezideowość tłomaczy wszystkie błędy Koła: chwiejność, nieszczerość, niekonsekwencyę, politykę bez jutra, od wypadku do wypadku. Nie mogło pójść

rzą sypkim, szklanym jękiem, drgnął stary dąb i zaskrzypiał suchemi konarami, grają rozlewnie buki i sosny i cały ten stugłosy chór niesie się w dal, przelewa się po rozkołysanych szczytach, wzmaga się tysiącem ech, szmerów i łkań i przepada gdzieś w ciemnej dali... Gotfryd, młode pacholę, syn węglarza, którego kuźnia ukryta w głębi boru dzień cały wyrzuca ku niebu kłęby brunatnego dymu, błądzi o takiej chwili w niedostępnych, nikomu nie znanych ostępach leśnych i słucha tajemniczego szumu drzew... Tyle lat spędził w gąszczy lasu, już od kołebki szumiał mu bór ten, w którym zamykał się cały świat jego marzeń i tęsknota młodego, junaczego życia... Gotfryd zna las ten, jak nikt z ludzi żyjących, dotknięciem czułych, miłujących dłoni poznaje każde drzewo, zwiedził w swoich wędrówkach dzikie ostępy i zapadliska leśne, gdzie dotąd nie spoczęła ludzka stopa... Więc chłonie duszą szum rozkołysanych drzew i rozumie tę dziwną, jedyną, niczemu niepodobną modlitwę lasu w pogodną noc letnią, tak jak rozumiał już wiele, przedziwnych rzeczy z tajemniczego, nikomu nie znanego życia gęstwi leśnej.

Lecz w słowa by tego zamknąć nie potrafił, tylko uśmiecha się urocznie albo popada w jakieś długie, skupione zamyślenie. Wówczas wzrok jego wytężony przenika słodkie, radości pełne tajemnice i sięga rzeczy niedostępnych ludziom... zresztą Gotfryd już dawno zapomniał mowy ludzkiej... a może nawet nie miał czasu się jej wyuczyć... Las ten niezmierzony bez końca i bez początku był od najmłodszych lat jego jedynym przyjacielem i jego piastunką... znał za to mowę drzew, traw i kwiatów, porozumiewał się z lasem miłującem dotknięciem konarów, albo śpiewnem bezsłownem nawoływaniem, na które odpowiadały mu ze wszystkich stron cudaczne echa, modlił się wraz z nim w godzinie przedwieczornej, albo witał wraz z jego radosnym szumem wstające słońce. To też bór odkrywał mu wszystkie swe cuda, uroczne zabawy, tajemne dziwowiska, o których się nie śniło ludziom. Nieraz przykucnięty do ziemi, na miękkim kobiercu mchów, zaczajał się za drzewnym wykrotem i czekał z bijącem sercem tej chwili, kiedy nad drzewne czuby wypływał miesiąc i srebrno-zielonem światłem przenikał aż do dna mroczną gąszcz leśną... Rozpoczynały się wówczas tajemne obrzędy i dziwowiska. Widział ze swej kryjówki jak poważne muchomory, rosnące w cieniu dębu, ruszały się z miejsc i biorąc się za ręce rozpoczynały uciesznу taniec na srebrnych mchach, widział jak małe sylfy o skrzydłach jętki pływały na zwiędłym liściu po cichej wodzie małej bajorki leśnej, albo dosiadały niby wierzchowców koników polnych, patrzał rozszerzonemi od tylu cudów źrenicami, jak w kielichu lilii wodnej, prześwietlonej miesiącem, królowa elfów przemywała srebrną rosą zaspane ze snu oczęta a potem zeskakiwała lekko na murawę, listkiem paproci czesała złociste włosy, i z białej pajęczyny, włóczącej się po ziemi wiła delikatne nici i przędła dla siebie drobną, leciuchną koszulkę...

W wędrówkach swoich spotykał legowiska dzikich zwierząt, lecz żadne stworzenie nie tknęło go, mieszkańca puszczy. I płynęły tak dnie za dniami, co dzień rano po jednej stronie boru podnosiło się słońce, stroiło las tysiącami blasków i zapadało po drugiej stronie krwawemi łunami. Czasem ciszę leśną przerwał donośny głos rogów myśliwskich... las cały rozbrzmiewał okrzykami, w zapadłych ostępach rozlegał się trzask gałęzi, ujadanie psów niosło się echami wśród drzew. Często przelatywał wówczas przed zasłuchanym w te gwary Gotfrydem, zwierz, spłoszony z kryjówki, i biegł na oślep z źrenicami błyszczącemi od lęku w niedostępne strony boru.

za wskazaniami postępowców i prowadzić politykę ideową na dalszą metę. Nie mogło pójść drogą współdziałania z demokracyą rosyjską, ścisłego kontaktu z „innoplemieńcami", popierania dążeń wolnościowych, demaskowania polityki reakcyjnej wobec szerokich mas, przemawiania silnym głosem ponad głowami przedstawicieli górnych dziesięciu tysięcy junkrów rosyjskich i dostawców intendentury—do narodu rosyjskiego, przedewszystkiem zaś do własnego; słowem drogą radykalizmu opozycyjnego.

Wolało raczej pójść za wskazaniami realistów, których w kraju namiętnie zwalczano, ale i tej polityki stosować nie umiało dzięki swej nacyonalistycznej ideologii i nałogom. Nie posiadało ani kultury, ani umiarkowania, ani stosunków realistów. Gdyby narodowa demokracya była istotnie wielką partyą polityczną, zrobiłaby to co jej radzili narodowcy-ideowcy: byłaby oddała mandaty realistom, lub Dumy nie obsyłała. Narodowa demokracya zdecydowała się i mandaty zatrzymać i prowadzić stale przez siebie wyklinaną politykę ugodową. Nie można atoli bezkarnie wyleźć z własnej skóry. Gdybyśmy nawet przypuścili, że leader Koła posiada kilka skór politycznych, w których czuje się jednakowo dobrze, to przecież musiano się liczyć z potrzebą maskowania się wobec swych stronników w kraju, którym w demagogicznej walce z wrogiem wewnętrznym inne powbijano ćwieki. Stąd cały szereg niekonsekwencyj. To śmieszne gesty frondy, to obiady u Donona i manifestacye lojalności, któreby wykonali z mniejszą zapewnie obrazą godności narodowej nawet potępiani przez narodową demokracyę za „serwilizm" realiści, to znów oświadczenia-gesty, mające mieć głębsze znaczenia, a w istocie obliczone na bałamucenie własnych stronników. Całem tem miotaniem się bezcelowem nie osiągnęło Koło, bo osiągnąć nie mogło, żadnych rezultatów w drobnych nawet zabiegach w Petersburgu, a przyczyniło się, jak to słusznie zauważył jeden z niezależnych narodowców, do depprawacyi politycznej szerokich mas w kraju i do wytworzenia w głowach bigosu sprzecznych haseł, nieporozumień. Tak gruby błąd, jak powstrzymanie się od głosowania nad kredytem na powszechne nauczanie, mógł być popełniony tylko przez takie Koło polskie jak obecne, składające się z nacyonalistów a wprowadzone na realistyczne tory. Nie popełniliby go ani postępowcy, ani realiści. Jedni dlatego, że w ciemnocie Rosyi widzą największego wroga demokracyi i Polski; drudzy zaś dla tego, że są to, bądź co bądź, oświeceni konserwatyści, nielubiący żadnych manifestacyj, a zwłaszcza tak widocznie niecelowych. Pomijamy już to, że mowa dr. Rządа była blada i słabo umotywowaną. Chodzi o rzecz samą. Koło polskie nie mające w sobie nerwu nowoczesnej demokracyi, kiedy zadecydowało wstrzymanie się od głosowania, poprostu nie zdawało sobie sprawy, że formalistycznie obojętnego stanowiska w tej kwestyi zająć nie było wolno. Nie pomyślano, że w kwestyach wolności lub oświaty mas, demokracyi polskiej, choćby nawet tak farbowanej jak narodowa demokracya, nie wolno było wstrzymywać się od głosowania, że grzechem było opuszczanie tak pięknej sposobności do wykazania swej kultury, do wystąpienia jako jasna siła w walce za waszą i naszą oświatę. Czyż doszło do tego, że nawet przed październikowcami rumienić się mamy?... Koło niezdawało sobie sprawy, że co do kredytów na powszechne nauczanie nie wolno się było wtrzymywać od głosowania tym, którzy wotowali kredyty na armię. Wystąpienie von Anrepa było ordynarną napaścią, w złej wierze dokonaną. Nie dziwimy się, że były kurator okręgu naukowego użył zwykłej nacyonalistycznej sztuczki i nadał słowom dr. Rządа inne znaczenie, ale osiągnął on doraźny efekt tylko dzięki błędowi Koła polskiego. Dzięki temu błędowi wypadło, że taki zawodowy gasiciel światła jak von Anrep bronił oświaty, a prezes Koła niezależnie od swej odpowiedzi von Anrepowi czuł się w obowiązku zabrać głos raz jeszcze, by oświadczyć dumnie, iż nie jest wrogiem oświaty ludowej, (*Głos Warszawski* z 1 kwietnia). Mowa Dmowskiego dała zręczniejsze umotywowanie decyzyi Koła, ale broniła ona, bo bronić musiała, zasadniczo błędnego stanowiska w tej sprawie. Przyjęta ona była życzliwie i przez Dumę i przez demokratyczną prasę rosyjską, ale też—rzecz charakterystyczna—odwołał się w niej p. Dmowski, leader Koła, do humanitarnej zasady sumienia, potępił wyraźnie szczucie nacyonalistyczne czyli targnął się na teoretyczne podstawy swego stronnictwa. Czyżby i p. Dmowski uległ w tej nagłej potrzebie „lubieżnym popędom humanitaryzmu", tak piętnowanym przez współzałożyciela narodowej demokracyi, Z. Balickiego.

Dla nas błąd Koła w sprawie głosowania nad kredytem na powszechne nauczanie nie jest przypadkowym, jest on charakterystycznym, niemal koniecznym objawem nacyonalistycznego kierunku, który potoczył się póługodową koleją, w której się nie mieści. Wykolejać się będzie, bo musi. Coraz staje się widoczniejszem, że dyktatura narodowej demokracyi nie tylko wewnątrz, ale i na zewnątrz kraju jest narodowem nieszczęściem, którego rozmiary przyszły historyk oceni. *Ł.*

DYPLOMACI

Już to przyznać należy, że obecne Koło polskie w Dumie 3-ej uprawiało do niedawna politykę milczącej obserwacyi i nader rzadko trudziło plenum Izby sprawami Królestwa. Milczała reprezentacya polska nawet wówczas, gdy nie tylko kraj cały, lecz nawet ministeryum czekało interpelacyi — o Macierz, gromadziło materyały i szykowało się do boju. Lecz boju nie było, gdyż dyplomatyzujące Koło polskie, jak doniosły pisma (jedyne względne źródło wiadomości o zamiarach Koła), zaniechało wystąpienia w Izbie w charakterze „oskarżycieli" i—pogrążyło się znowu w niemej kontemplacyi coraz silniej rozwijającego się nacyonalizmu w Dumach rosyjskich.

Aż oto zdecydowano się przerwać ciszę. Istotnie, dyskusya nad kredytem na oświatę ludową była momentem poważnym w Izbie, załatwiającej wciąż drobne sprawy... porządkowe i unikającej uchwalania praw doniosłości zasadniczej.

Koło nie mogło już „pominąć milczeniem" swego stanowiska w sprawie oświatowej.

To polowała przecudna Elza, wdowa po rycerzu zbójniku, której zamek wyniosłemi wieżami wystrzelał ponad najwyższe drzew wierzchołki. Gotfryd raz tylko ją widział, lecz twarzy jej nie mógł dostrzedz za spuszczoną przyłbicą. A było to tak... pewnego dnia zabłąkał się w swych wędrówkach w okolice zamku... traktem leśnym, prawie tuż pod jego groźnemi murami, wlokła się powoli karawana kupiecka. Po mokrej ziemi skrzypiały olbrzymie koła wozów, wyładowanych towarami, konwój uzbrojonych jeźdźców otwierał i zamykał pochód. Gotfryd siedział wśród gęstych gałęzi drzewa i widział jak na dłoni cały ten malowniczy obraz. W tej chwili na wieży zamku rozległ się głos rogu, zaskrzypiały łańcuchy, opadł z hukiem most zwodzony i przez bramę wypadła konna, rycerna gromada pachołków, uzbrojonych w dzidę, oszczepy i miecze. Na czele hufcu, wprost na Gotfryda, na białym rumaku pędziła kobieta-rycerz, w błyszczącej zbroi, z twarzą okrytą przyłbicą, z pod której wymykały się rozrzucone na wietrze pasma złocistych włosów. Na puklerzu i hełmie paliło się południowe słońce z taką mocą, że wyglądała jak zjawisko, jak błyskawica...

Wpadli jak grom na karawanę, zmietli ją siłą rozpędu, rozległ się głuchy szczęk mieczów o zbroice, wołanie o ratunek, jęki umierających... kilka trupów, broczących krwią, zaściełiło leśną murawę... A potem wciągnięto wozy za mury zamku, podniósł się most zwodzony i głucha cisza zaległa znów leśne uroczysko... Wszystko to trwało tak krótko, że Gotfryd długi czas nie był pewnym, czy to sen czy jawa. Dopiero, gdy zeskoczył z drzewa i potrącił nogą o ciepłe jeszcze zwłoki, zrozumiał wszystko i uciekł gnany lękiem w głąb boru. Lecz obraz rycerza-kobiety, ze złocistemi włosami pod hełmem, utkwił mu w duszy głęboko i wyrył jakąś serdeczną, niezatartą bruzdę w sercu. Dopadł do swej kryjówki, rzucił się na mchy, objął ziemię rękami, przycisnął ją do swej piersi i jakieś nieznane dotąd uczucie zalało mu serce. W tej chwili w oczach uczuł dziwną wilgoć i łzy poczęły spadać gęsto na srebrny, delikatny mech leśny... zdziwił się niezmiernie, bo pierwszy raz zobaczył łzę... było to coś tak niezwykłego, że zerwał okiść mchu, na którym łza jego błyszczała jak kropla rosy, i długo ze zdumieniem przypatrywał się jej tęczowym blaskom... Od tego czasu poczęły się z Gotfrydem dziać dziwne rzeczy... jakaś tęsknota gryzła mu serce... błądził po puszczy, skarżył się drzewom, trawom i kwiatom, w duszy czuł jakąś muzykę cudowną, dla której szukał uzewnętrznienia. I wtedy po raz pierwszy począł *śpiewać*... Z piersi jego wyrywały się jakieś tony długie, rzewne, przeciągłe, podobne do jęku wichru albo do ryku zwierząt w księżycowe noce, a las chłonął w siebie ten dziwny śpiew i szumiał jakby zdziwiony i zaniepokojony tem, co się działo z Gotfrydem. A nawet snów nie miał spokojnych... ledwie przymknął powieki, ukołysany szmerem monotonnym lasu, rozpoczynały się majaki i wizye. Raz zdawało mu się, że tuż około jego głowy zeskakuje z traw jakiś gnom brodaty i szepcze mu do ucha dziwne i tajemne opowieści, od których ciało jego zaczyna płonąć jak węgiel, to znów przeciągały przed jego oczyma dziwaczne korowody kwiatów z ludzkiemi twarzami, a tuż nad uchem zawisał niewidzialny komar i uderzał w długi, monotonny ton, który przeszywał mu serce jak gładka stal, wreszcie zjawiała się słoneczna wizya rycerza-kobiety, z pożogą słoneczną na puklerzu i całym rozpędem kopyt końskich waliła wprost na jego piersi. Zrywał się wówczas, przecierał oczy i dopiero gdy ujrzał tuż nad sobą złociste gwiazdy, zaplątane w gąszcz leśną i usłyszał znany mu tak szum ukochanych drzew nad głową, uspokojony przymykał znów senne powieki.

(d. n.)

...Winno ono było związać z nią wszystkie bóle dawne i najnowsze, naszej oświaty dotyczące, skorzystać—nareszcie—z trybuny parlamentarnej, z tej jedynej obecnie areny, względnie śmielszych wystąpień — społeczeństwa. I, mogło Koło polskie liczyć na sukces, choć nie faktyczny i nie u obecnych czynników miarodajnych. Odniosłoby ono zwycięztwo ideowe, w przyszłości pierwszorzędnej wagi, a i dziś już krzyżujące poniekąd plany polakożerczej prawicy...

Ale, niestety, takiego zwycięztwa nie mogło odnieść *obecne* Koło polskie. Złożone z przedstawicieli jednego stronnictwa i będące wyrazem jego programu i taktyki politycznej, idzie ono fatalnie po krzywej dobrze znanego stanowiska... To nie grupa parlamentarna w dumie, to raczej *sui generis* „ambasada polska" przy Dumie, która o tyle tylko do spraw parlamentu rosyjskiego się wtrąca, o ile *bezpośrednio* interesy polskie w grę wchodzą i są omawiane. Wtedy komunikuje się z trybuny „notę dyplomatyczną", z godnym uznania panowaniem nad sobą wysłuchuje się popisów szowinistycznych pp. Puryszkiewicza z towarzyszami i wraca się na swe miejsca—ambasadorów. W pozostałych wypadkach „ambasada polska" obserwuje,wstrzymuje się od wypowiadania zdania, nie głosuje.

Z tego to ogólnego stanowiska oceniać należy politykę Koła polskiego w III-ej Izbie państwowej. Z tego to właśnie stanowiska wystąpienie Koła w sprawie oświaty ludowej nie jest sporadycznym błędem, czy potknięciem, jakąś specyalnie niefortunną a nieoczekiwaną decyzyą. Nie jest ono również winą danego posła, wyznaczonego do zakomunikowania Dumie treści „noty" Koła. Przeciwnie, wszyscy zdający sobie sprawę z taktyki narodowo-demokratycznej w Izbie, mogli się „wstrzymania od głosowania" w sprawie danej, wielu poprzednich, i—przyszłych zgóry spodziewać. Dla tego też, gdy głos swój łączymy z dotychczasowemi krytykami formuły Koła w prasie naszej, to głównie czynimy to w tym celu, by sprawę już omówioną wszechstronnie co do faktu, oświetlić z zasadniczego stanowiska.

Mniejsza o to, czy Koło formułą swą ułatwiło już p. von Anrepowi „odznaczenie się" polonofobyą. Czuły na imperatywy — chwili „czerwcowy październikowiec" znalazłby nie dziś, to jutro sposób wspinania się dalej i—wyżej kosztem Polaków.

Mniejsza i o jego towarzyszów z pod jednego znaku. Mniejsza wogóle o decydującą dziś, wrogą nam otwarcie lub pod maską, większość III Izby Państwowej. Złudzeń tu być nie może—żadnych, ni jakichbądź „not", pod adresem pp. von Anrepów, Eulogiuszów i Puryszkiewiczów, nawet choćby jedynie ze stanowiska „rozumu, sumienia i odpowiedzialności, a nie... serca", jak chce tego leader i prezes Koła polskiego. Szczera i śmiała krytyka — oto jedyna właściwa „mowa" Koła w stosunku do prawicy.

Lecz poza „mową", poza wpływem ważnym żywego słowa, chodzi o rzecz głębszą. Nie o mowę już, lecz o uchwałę. O politykę nie chwili, lecz—*dalszej mety*, o współdziałanie ze stronnictwami opozycyjnemi w Dumie i opinię oświeceńszych i lepszych warstw społeczeństwa, z którem splotły się nasze losy dziejowe.

Każdy nasz występ na trybunie Dumy winien kojarzyć się ściśle z istotnie autonomicznem stanowiskiem i winien się liczyć z tą ważną przesłanką, że wszystkie projekty ustawodawcze, wzmacniające, choćby pośrednio tylko, *młodą* Rosyę, nie są dla losów Królestwa obojętne, że one w skutkach swych i nas dotyczą i nam korzyść przyniosą.

Wstrzymanie się od głosowania w sprawie kredytów oświatowych nie było objawem wrogiego stanowiska Koła w danej sprawie. Jest to godna prawicy polakożerczej tendencyjna insynuacya. Nie było ono jednak z pewnością symbolem współdziałania młodej Polski z młodą Rosyą, nie było wyrazem dążeń autonomicznych i wykorzystaniem trybuny Dumy dla utrwalania owego rodzącego się dopiero porozumienia.

E. St. R.

Z DUMY.

Organizm może się znalogować w pewnym kierunku i wtedy to, co pierwej było dla niego gwałtem, staje się z czasem potrzebą konieczną; przyzwyczaiwszy się do zażywania trucizny, nie może się już obejść bez dawki codziennej.

Taką właśnie potrzebę wytworzyły w nas lata ubiegłe — potrzebę irytacyi. Jak pijak potrzebuje alkoholu i palacz nikotyny, tak człowiek doby dzisiejszej potrzebuje codziennego rozlewu żółci i co rano budząc się ze snu i rozwijając świeżą gazetę, gorączkowo przebiega wzrokiem szpalty, szukając nowej obelgi dla swej godności ludzkiej, jako narkotyku dla wzbudzenia potrzebnej energii.

I zaiste, nie brak tego jak dotąd. Jeżeli zbyt znanymi i obojętnymi stały się takie fakty, jak tryumfy rozpruwaczy piernatów żydowskich, wyroki śmierci na dzieci, rozdawanie broni przez prowokatorów i t. d., jeżeli one już nie w nas nie budzą, oprócz wzruszenia ramion i filozoficznego „naturalnie!" — to jest inne źródło nienawiści, niewyczerpane, bo nieskończenie głębokie: — to głupota i miernota ludzka.

Mam tu na widoku ten optymizm rosyjski, który fachowo uprawiają Panglosi miejscowi wszystkich gatunków. Nadano im od Boga takie czoła, które błyszczą jak samowary, i usta, które umieją składać się tylko do przyjemnego uśmiechu. I w oczach ich świeci wieczne zadowolenie. Wszystko wychodzi na lepsze na tym najlepszym ze światów! A kiedy biją ich kijem przez plecy, wołają: co za łaska, co za łaska! A kiedy brudne pięście uprzejmie ocierają o ich twarze, wołają: co za zaszczyt, co za zaszczyt!

Stał się fakt mały a śmieszny: w Dumie 16-go czerwca, w Dumie żubrów, w Dumie, która pomyślnie rozstrzygnęła kwestyę mostu w Pskowie — jednem słowem w *trzeciej* Dumie p. Izwolski wygłosił mowę tak zręcznie ułożoną, że nikogo nie zaczepił ani obraził, nic nie przyrzekł, do niczego się nie zobowiązał. A że „dyplomatyczne panie", na których się opiera cała polityka zewnętrzna; wystawiły swe jedwabie i brylanty w łożach pierwszego piętra, zaś posłowie zajmowali miejsca w parterze, więc ci ostatni mogli dojrzeć tylko strzyżoną bródkę i czysty kołnierzyk p. ministra. Ale za to chciwie chwytali uchem każde słówko, które przelatywało ponad ich głowami ku górze. Serce Panglosa potrzebuje radości, i tu jej miano odrazu na kilkanaście dni. Jaki zaszczyt, zaszczyt! Z Dumą się liczą, bo jej (?) opowiadają nawet o stosunkach międzypaństwowych! I kadecka *Riecz* i marksowska *Stoliczna ja Poczta* zaczęły z takiem natchnieniem wychwalać p. Izwolskiego, że nawet „sfery" się zlękły: cóżto, — „tamci" chwalą? to może on jest zdrajcą, przebranym żydem?

Qui pro quo? — oto hasło naszego czasu. Struwe wygłosił hasło: bądźmy silni nazewnątrz. Mieńszykow zażądał dla Polski autonomii. *Rosya*—organ ministeryalny—zamieściła taki artykuł:

„Rząd nie zna odpowiedzialności; stanem jego przyzwyczajeniem — panowanie. „Chcieć go zmusić do zmniejszenia swej potęgi, chcieć ustalić prawo na miejscu samowładztwa, wprowadzić konstytucyę, — „to jest to samo, co założyć rozhukanemu „koniowi wędzidło, lub związać chuligana. „Na to liczyć nie można... Zmusić rząd do „nadania konstytucyi może jedynie najwyższy władca — naród".

Co to znaczy? — nic, fraszka, tam przecie mowa tylko o Chinach, Co Chiny, to nie Rosya; tak samo co Struwe, to nie październikowcy. Tamci nie chcą być silni nazewnątrz, bo nie dali pieniędzy na budowę pancerników. I nawet nie zachwycają się tak Stołypinem, jak kadeci Izwolskim, bo nic nie wskórał swą mową, w której z taką żelazną konsekwencyą dowodził, że trzeba budować milionowe okręty, bo inaczej państwo straci kilka tysięcy rubli przez bezrobocie czterech fabryk. Mniejszość komisyi, która się losem tych fabryk przejęła, założyła protest przeciwko uchwałom większości, ale zdaje się, że sprawa w Dumie już jest przesądzoną, tem bardziej, że „ministeryum Cuszymy" nie chce się reorganizować i Dikow dymisyi nie otrzymał. I nie mógł, zresztą, otrzymać, bo nie przystoi tym panom uzależniać się od sympatyi Dumy, — przecie nie jesteśmy w Anglii! Potrafimy mieć też parlament, habeas corpus, wolność sumienia i wiele innych pięknych rzeczy, ale to wszystko ma być zupełnie „samobytne". I sadownictwo będziemy mieli najpostępowsze, ale też „samobytne". Jak to, naprzykład ładnie brzmi: uwolnienie przedterminowe! I jak też twórczo jest opracowana treść, która w tych dwóch słowach się mieści! Jakkolwiekbądź się zorganizują i z kogokolwiekbądź będą się składały instytucye decydujące o uwolnieniu więźnia, los jego będzie zależał od administracyi więziennej, lub tych wydziałów i zarządów, które mają tu wpływy i władzę. A więc, konsekwencye nowego prawa nietrudno przewidzieć: z braku miejsc w więzieniach ogromną większość będą uwalniali po upływie trzech czwartych terminu. To się stanie objawem normalnym i sędziowie wyznaczając karę mimowoli będą pod presyę tej świadomości, że więzień nie odbędzie całkowitej kary i będą z większą łatwością wydawali surowe wyroki. W takim razie ogół skazańców nic na tem nie zyska, zaś administracya więzienna otrzyma prawo podług swego widzimisię przedłużyć termin więzienia o całą trzecią część. Spowoduje to zupełną demoralizacyę przestępców kryminalnych, którzy będą usiłowali przypodobać się dozorcom i da możność przedłużać terminy zależnie nie od „poprawy" zaświadczonej, przez stróża więziennego, lecz od rodzaju przestępstwa. Tak zwani „polityczni" pewno będą w podobnym wypadku korzystali z bardzo dobrej protekcyi żandarmeryi i ochrany.

Nic więcej nie można wyciągnąć ciekawego z życia Dumy w przeciągu kilku ostatnich tygodni. Zajście Rząda z Anrepem jest faktem bardzo jaskrawym i może da niespodziewane wyniki, zmuszając do zdeklarowania się Koło polskie, które dotychczas przemawiało tylko półgębkiem.

Oprócz kwestyi, które się rozstrzygają w Dumie lub jej komisyach, są inne, które wiszą w atmosferze dumskiej i dają dużo tematu do rozmów i artykułów gazeciarskich. Najważniejsze są następujące:

1) Prawo wyborcze, które zostało zmienione w drodze ukazu, musiało być złożone Dumie do zatwierdzenia nie później nad dwa miesiące. Tego nie zrobiono, więc prawo 16-go czerwca już jest nieważne. Tymczasem i stare już jest skasowane, i konstytucya rosyjska niema prawa wyborczego. Duma będzie musiała opracować je nanowo.

2) Interpelacye w sprawie Finlandyi leżą w odpowiedniej komisyi i będą stamtąd wydobyte kiedy się poruszą pewne sprężyny tajemne. Niedawno kursowała pogłoska, że Stołypin chce je przyspieszyć, ale można sądzić, że budżet zbyt zajmie Dumę i może nawet uśmierzy nieporozumienia partyjne, które prowokują sprawę finlandzką.

3) Kwestya rolna w Rosyi zawsze będzie zajmowała najpoważniejsze miejsce w dziedzinie myśli politycznej. I nawet w trzeciej Dumie nie było możności zupełnie jej pogrzebać. Z gazet jest znane postanowienie włościan prawych w tej sprawie i alarm, który powstał z tego powodu. Najciekawszym jest sposób zachowania się *Rossii*—gazety Stołypina. Artykuł jej w tej sprawie zostanie nazawsze w historyi Rosyi, jako jaskrawa charakterystyka stosunków dzisiejszych:

„Uważamy za swój obowiązek uprzedzić „posłów-włościan, że rząd niejednokrotnie „już wyrażał swój pogląd na sprawę wy„właszczania gruntów i że pogląd ten zy„skał aprobatę Najwyższą.

Eug. Z.

LIBERUM VETO.

Ideje i idejki.

Zdaje mi się, że wkrótce przypadnie 25-letni jubileusz pierwszej dymisyi, którą mi dali nowonarodzeni „młodzi" jako chorążemu czołowej kolumny postępu. W motywach powiedziano, że ta kolumna już mnie daleko wyprzedziła i że dalej posuwać się mogę zaledwie po za nią w tylnych szeregach armii. Jakkolwiek nigdy niczem się nie mianowałem, kilkakrotnie jeszcze potwierdzono mi ową dymisyę z prawem noszenia szpady honorowej. Podobny los spotkał paru moich współcześników, którym również oświadczono wyraźnie lub dano do zrozumienia, że „czas odpocząć". W zasadzie takie przenoszenie działaczów publicznych „w stan zasłużonego spoczynku" jest zupełnie naturalne i słuszne. Dusza człowieka, jak jego ciało, wyczerpuje swoje siły: w młodości chodzi szybko, biega, skacze, w dojrzałym wieku postępuje umiarkowanie, w starości posuwa się wolno, używa podpory i przy prędszym ruchu uczuwa duszność. Nietylko nasza energia, ale zdolność rozumowania potrzeb i zadań swego czasu jest mała proporcyonalnie do naszego życia. Po kilku, kilkunastu latach wpływu, przewodnictwa, starzy arcykapłani stają się dzwonnikami, wodzowie — ciurami a bohaterowie — spożywcami łaskawego chleba. Duch rozwoju, wiecznie głodny i nielitościwy, pochłania i trawi największych, niszczy wszelką osobowość, wysysając z niej jedynie pierwiastki pożywne i potrzebne dla utrzymania swych sił. Wszyscy jesteśmy zaledwie materyą przerabianą w jego wnętrzu. Przeróbka ta odbywa się prędzej lub wolniej, a przyspiesza ją nietylko żywotność społeczeństwa, ale także jego nerwowa wrażliwość. Są narody, które długo nie mogą się wyzwolić z bałwochwalczego kultu dla jednostek a są inne, które w nim nie wytrzymują nawet dziesiątka lat. Takim jest nasz. Przypomnijmy sobie, jak gwałtownym ulegamy napadom ekstazy aż do utraty przytomności i jak łatwo stygnie lawa naszych uczuć; jak wysoko podrzucamy w górę naszych chwilowych ulubieńców i jak nizko pozwalamy im upadać ze szczytów krótkiej chwały! W naszych zachwytach jest więcej histeryzmu, niż świadomego u-[illegible].

Nic dziwnego też, że często mówimy do przedmiotów naszej czci, jak do zeszłorocznych surdutów: już niemodne.

Można przytoczyć tysiące dowodów, świadczących, że starsze pokolenia nie rozumieją i nie oceniają sprawiedliwie młodszych. A zdarzają się przytem bardzo grube omyłki. Turgeniew przeczytawszy po długim oporze jedną z pierwszych i najlepszych prac Szczedryna, rzekł: „To nie literatura — dyabeł wie co takiego". Ale nie ulega również wątpliwości, że nie wszystko, co jest nowe i młode, jest cenne i że twórcy rzeczy świeżych wyzyskują stwierdzone błędy dnia wczorajszego wobec dzisiejszego i jutra. Gdy geniusz się rodzi — powiada Heine—natychmiast głupcy łączą się i knują przeciwko niemu spisek. Otóż prawie każdy, kto wystąpiwszy poraz pierwszy na scenę, spotyka się z ostrą krytyką, mniema, że jest geniuszem i że słyszy protest sprzysiężonych głupców. Byłoby to wielkiem szczęściem dla narodu, któremu na niwie życia zaledwie co pół wieku wyrasta potężny dąb, gdyby mu co rok wyrastały gęsto dęby jak gryka. Tak, niestety, nie dzieje się nigdzie a tem mniej u nas. Natomiast mamy więcej, niż gdziekolwiek, pretensyj i naiwnej wiary w nadzwyczajny i nieprzerwany urodzaj genialności. Nasza słaba, ograniczona do cieniutkiej warstewki społecznej i powstrzymana w rozwoju kultura jest zbiorowiskiem skał mocno odbijających echa wrzawy świata, jest szeregiem wklęsłych zwierciadeł, powiększających nienaturalnie jego oblicze. Wsłuchujemy się i wpatrujemy czujnie w najkrzykliwsze głosy i najendaczniejsze kształty życia Europy, usilując, jak zwykle bywa w naśladownictwie, nietylko jej dorównać, ale ją przewyższyć. Jeżeli na Zachodzie poeci piszą wiersze mgliste, to my wytwarzamy pozbawione wszelkiego sensu; jeżeli tam malują jaskrawo, to my robimy z obrazów palety oblepione farbami; jeżeli tam powstają przeciw szowinizmowi, to my wpieramy się uczuć patryotycznych. Z wszystkiego robimy karykaturę. Nam chodzi o to, ażebyśmy we wszystkiem „pobijali recordy". To jest przeważnie nasz postęp, nasz radykalizm, nasz pochód w „pierwszym szeregu". Ogół, wychowany w dyletantyzmie naukowym i bezczynności obywatelskiej, łapie puste słowa i zapamiętale teoretyzuje bez względu na warunki praktyczne. Co miesiąc, a nieraz co tydzień lub codzień pęka jakaś rakieta, z której wylatuje nowe hasło czasu a raczej chwili i która zagłusza i zaćmiewa wszystkie poprzednie. W literaturze, sztuce, życiu społecznem brzmi ustawicznie łańcuch krótkich, swędliwych huków petardowych, przesuwa się migawkowy ciąg zmiennych obrazów a każdy z nich ma być regułą lub wzorem. Niema wielkich idei, są tylko idejki, niema słońca, lub chociażby świetnych gwiazd, są tylko gwiazdeczki, ogniki a czasem świętojańskie robaczki, usiłujące rozjaśnić ciemną, gęstymi mrokami spowitą noc. Uwija się gromada „bojowników przyszłości" z drążkami w ręku, poszukujących jakiejś tkaniny na nową chorągiewkę. Sztandarem i godłem może być wszystko: widziadło białej gorączki, wybryk obłędu, spódnica prostytutki, kurtka zbrodniarza, sukmana chłopa — bez ograniczeń. Jakiś bohater lub bohaterka powieści, dramatu, głośnej sprawy staje się na pewien czas bożyszczem, ideałem, symbolem, wcieleniem ducha całej ludzkości lub conajmniej narodu, fetyszem czczonym ślepo, głupio i bezwzględnie. Kanonizacya sezonowych świętych, dogmatyzowanie pompatycznych frazesów, wyrzekanie się wszelkiej krytyki wobec przedmiotów chwilowego kultu, nietolerancya posunięta do gwałtu a sekciarstwo do utraty rozumu — wszystko to są objawy zwykłe, niemal codzienne i mające dowodzić radykalizmu uczuć, myśli i dążeń.

Tymczasem one dowodzą całkiem czego innego, mianowicie—że my dziś nie okazujemy ani zdolności, ani zamiłowania do istotnego radykalizmu, że wielkie ideje pokruszyliśmy na małe idejki, że rozdrabniamy ogromne słońce na gwiazdkozbiory, że wspaniałe kryształy łamiemy na świecące kamyki, które oprawiamy w pierścionkach. Pod naszem niebem znam tylko trzy wielkie ideje, za które walczyć potrzeba i które są probierzami naszego radykalizmu: wolność osobista, sprawiedliwość społeczna i samorządność narodowa. Kto broni praw człowieka i obywatela, kto broni praw ludu od ciemnoty, nędzy i wyzysku, kto broni społeczeństwo od niewoli — ten tylko jest apostołem lub bojownikiem przyszłości. Wszystkie inne sprawy stanowią plecionkę dążeń i celów dnia lub roku, zwój interesu kapliczek, warsztacików, jednostkowych i klasowych spekulacyjek. Niech nam to nie imponuje, nie łudzi, nie olśniewa i nie odwraca od wielkich drogowskazów postępu.

Poseł Prawdy.

Nauka i Sztuka

H. Poincare. **Nauka i hypoteza.** Warszawa, 1908, nakład J. Mortkowicza, G. Centnerszwer i S-ka, str. 198.

Błędna hypoteza jest lepsza jak żadna, powiedział Goethe; wykazanie niezbędności i uprawnienia hypotez w nauce jest zadaniem, jak postawił sobie Poincare w wyżej wymienionej pracy. Przystępując do zbadania roli hypotezy wskazuje autor na wstępie, iż istnieje kilka rodzajów hypotez; jedne z nich są sprawdzalne i skoro tylko zostaną potwierdzone przez doświadczenie stają się płodnemi prawdami, inne nie mogąc nas wprowadzić w błąd są pożytecznemi, gdyż dostarczają oparcia naszej myśli, inne wreszcie są hypotezami tylko z pozoru, będąc właściwie określeniami lub umowami. Te ostatnie spotykamy zwłaszcza w matematyce i naukach pokrewnych. Stąd właśnie nauki te czerpią swą ścisłość, umowy te są wytworem swobodnej działalności naszego umysłu, nie są jednakże dowolne, doświadczenie służy nam bowiem za przewodnika. Niektórych autorów uderzył ten charakter wolnej umowy, jakiego dopatrzono się w pewnych podstawowych zasadach nauki. Uogólniając nad miarę doszli do tak zwanego nominalizmu, i zadali sobie pytanie, czy badacz nie pada ofiarą własnych swych określeń i czy świat,który w swem mniemaniu odkrywa, nie jest po prostu tworem jego kaprysu. Wobec tego nauka byłaby pewną, lecz bezsilną. W rzeczywistości przecież tak nie jest, gdyż codziennie patrzymy na jej działalność. A byłoby zaś to niemożliwem, gdyby nauka nie zapoznawała nas z czemś rzeczywistem. To co poznajemy wszelako, to nie są same rzeczy w sobie, lecz tylko stosunki między rzeczami, poza stosunkami tymi niema rzeczywistości poznawalnej. Do takiego wniosku dochodzi autor po zbadaniu kilku podstawowych pojęć matematyki, mechaniki i fizyki doświadczalnej.

Rozbiór ten poprzedza analiza istoty rozumowania matematycznego. Wynika z niej, iż nie ma ona wyłącznie charakteru dedukcyjnego, jak się powszechnie mniema, lecz posiada

również w pewnej mierze charakter rozumowania indukcyjnego, i to stanowi właśnie o jej płodności. Bada następnie autor pojęcie wielkości matematycznej. Porównanie surowych danych naszych zmysłów z niezmiernie złożonem pojęciem, które matematycy nazywają wielkością, usilnie zniewala nas do uznania, że zachodzi między niemi rozbieżność; a więc rama ta, w którą wszystko chcemy wtłoczyć, naszej jest roboty, nie zrobiliśmy jednak jej dowolnie, zrobiliśmy ją, powiedziećby można, na miarę i dlatego umieszczając w niej fakty nie wypaczamy ich cech istotnych. Inną ramą narzuconą przez nas światu jest przestrzeń. Pojęcie jej analizuje z kolei autor i wykazuje, że przestrzeni nie objawiają nam bynajmniej nasze zmysły, ta, którąby pokazać nam mogły zmysły, różni się najzupełniej od przestrzeni geometryi. Zasady, na jakich opiera się geometrya są umowami, ale umowy te nie są dowolne i gdyby nas przeniesiono do innego świata, zniewoliłoby to nas do przyjęcia innych umów. Do podobnych wniosków dochodzi autor rozpatrując pojęcie siły w mechanice. Zasady tej nauki, jakkolwiek bardziej bezpośrednio oparte na doświadczeniu, posiadają również charakter umów konwencyonalny właściwych geometryi. Inny rodzaj hypotez spotykamy w fizyce, tu widzimy całą ich płodność. Dzieje fizyki wskazują, jak przemijającemi są jej teorye; jednakże nie przemijają one bez śladu, z każdej coś pozostaje. To coś stanowi właśnie prawdziwą i jedyną rzeczywistość. Metoda nauk fizycznych opiera się na indukcyi, która każe oczekiwać powtórzenia się pewnego zjawiska, gdy powracają okoliczności, w jakich zjawisko to po raz pierwszy powstało. Gdyby wszystkie te okoliczności mogły razem powrócić, zasadę możnaby stosować bez obawy, lecz nie zdarzy się to nigdy; niektórych z tych okoliczności będzie zawsze brakowało. Nigdy nie możemy mieć pewności czy są one pozbawione znaczenia. To może być tylko prawdopodobnem, lecz nie ściśle pewnem. Stąd wynika doniosła rola w naukach fizycznych pojęcia prawdopodobieństwa. Rozpatruje tedy w dalszym ciągu autor zasady rachunku prawdopodobieństwa, jest to jeden z najlepszych rozdziałów książki. Dochodzi w nim Poincare do wniosku, że oryentujemy się w prawdopodobieństwach dzięki pewnemu mglistemu instyktowi, który w wysokim stopniu opornym jest wszelkiej analizie. Dla scharakteryzowania go przytacza autor kilka przykładów z historyi optyki oraz elektryczności. Ścisłość rozumowania i jasny wykład są zaletami tej pracy w równej mierze jak i poprzednio już spolszczonych dzieł tegoż autora. Przekład p. M. Horwitza jest bez zarzutu. *m. n.*

M. Hillquit: **Dzieje socyalizmu w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.** Kraków, Spółka nakładowa „Książka", 1908, str. 301.

W pierwszej części dzieła znajdujemy historye osad komunistycznych w Stanach Zjednoczonych. Było ich kilkaset w ciągu ubiegłego wieku, historya ich jest również urozmaiconą jak i charakter. Dzieli je autor na cztery grupy. Pierwszą stanowią gminy zakładane przez sekciarzy, których głównym celem było swobodne wykonywanie właściwych im wierzeń religijnych, komunizm był cechą podrzędnego znaczenia, wprowadzoną jako środek zabezpieczenia członków przed wpływami otoczenia niewiernych. Gminy te były najwcześniejszemi co do czasu, najsilniejszemi co do liczby członków i wiele z nich przetrwało do dzisiejszego dnia. W dziejach ruchu socyalistycznego odegrały one tylko drugorzędną rolę. Do drugiej grupy należą gminy Owenitów, założone już to przez samego Owena lub pod wpływem jego agitacyi. Były to pierwsze gminy, założone w Ameryce dla poparcia pewnej ogólnej teoryi społecznej; tylko dwanaście z tej grupy uszło zapomnienia, aczkolwiek było ich znacznie więcej. Zakładano większość ich w okresie między 1825 a 1830. Fourieryzm był pierwszym systemem socyalistycznym, który zdołał przybrać rozmiary ruchu obejmującego całe Stany Zjednoczone. Ruch ten trwał koło lat dziesięciu, od 1840—1850. Gminy zakładane przez zwolenników Fouriera pod względem planu organizacyi były w znacznym stopniu zbliżone do ideału gmin wytwórczych, noszących w systemie Fouriera miano „falang". Gminy wreszcie ikaryjskie były ostatnim eksperymentem utopijnego socyalizmu w Ameryce. Pierwotną gminę Ikaryę, założono w 1848 r. a liczne jej rozgałęzienia, wytwarzane przez ciągły proces rozłamów i przesiedleń, przedłużyły jej istnienie prawie na pół stulecia. Ruch ikaryjski obejmował prawie wyłącznie Francuzów i miał bardzo mały wpływ na nowoczesny ruch reformatorski. Niepodzielność organizmu społecznego była skałą, o którą rozbiły się wszystkie eksperymenta komunistyczne, do takiego wniosku dochodzi autor po zbadaniu ich dziejów. Co do wpływu życia we wspólnocie na kształtowanie się charakteru ludzkiego, ze wszystkich świadectw przytoczonych przez autora wynika, że komunistyczny tryb życia sprzyja fizycznemu, moralnemu i umysłowemu rozwojowi człowieka.

Część druga obejmuje dzieje nowożytnego ruchu socyalistycznego. Opiera on się na istnieniu licznej klasy robotniczej, powstałej dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku. W historyi jego wyróżnia Hillquit cztery okresy. W pierwszym od 1848 do wybuchu wojny domowej, ruch obejmował wyłącznie imigrantów niemieckich i pozbawiony był większego znaczenia zarówno co do rozmiarów, jak i głębokości. Na lata od 1867 do 1877 przypada drugi okres tworzenia organizacyi. Charakterystyczną jego cechą jest powstawanie jednego po drugim stowarzyszeń i partyi socyalistycznych, najpierw lokalnych, potem ogólno państwowych, a szczytem rozwoju jest ostatecznie utworzenie się Socyalistycznej Partyi Robotniczej. Okres Socyalistycznej Partyi Robotniczej obejmuje przeszło lat dwadzieścia, charakteryzuje szereg wewnętrznych i zewnętrznych walk o kwestye zasad i taktyki. Wreszcie okres ostatni przypada na czas zaaklimatyzowania się socyalizmu w kraju i powstania Partyi socyalistycznej. Dziś ruch socyalistyczny w Stanach Zjednoczonych reprezentują dwie partye: Socyalistyczna Partya Robotnicza i Socyalistyczna Partya, ta ostatnia znana jest także pod nazwą Socyalno Demokratycznej partyi. Przyczyną rozłamu według autora było wrogie stanowisko Socyalistycznej Partyi Robotniczej do związków zawodowych i fanatyczne przestrzeganie rygoru dyscypliny partyjnej. Przy wyborach do kongresu w 1902 głosy Socyalistycznej Partyi, powstałej w 1899, doszły do ćwierci miliona, głosy zaś S. P. R. przy tych samych wyborach niewiele przekroczyły cyfrę 50,000. Autor omawianej pracy jest członkiem Socyalistycznej Partyi, niemniej przecież charakteryzuje on obie partye z zupełną bezstronnością. Programy obu partyj nie przedstawiają znaczniejszych różnic; S. P. R. zarzucają zwolennicy S P. doktrynerstwo, ciasnotę i nietolerancyjność. Przyczynami powolnego rozwoju socyalizmu w Ameryce są zdaniem autora: dobrobyt robotnika amerykańskiego, brak wyrobionego poczucia klasowego, spowodowany większą niż gdzieindziej łatwością przejścia do klasy posiadaczy i zupełna równość polityczna, skutkiem której robotnicy mieli o jeden motyw mniej do organizowania się politycznego na zasadach klasowych. Wśród nielicznych dzieł w literaturze europejskiej poświęconych historyi socyalizmu w Anglii praca Hillquita wyróżnia się korzystnie od innych objęciem całokształtu dziejów ruchu (doprowadzone są do roku 1903) sumiennem zbadaniem źródeł i bezpośrednią znajomością ostatniej fazy ruchu socyalistycznego. Tłumacz, p. Jędrzejowski, dawszy przekład wzorowy angielskiego oryginału, uzupełnił go sprawozdaniami obu partyj socyalistycznych Stanów Zjednoczonych na kongresy międzynarodowe: w Amsterdamie (1904 r.) i Stuttgarcie w 1907 roku. Sprawozdania te rywalizujących partyj, kontrolując się i uzupełniając wzajemnie, dają obraz ruchu w okresie czasu, jaki upłynął od rozłamu do roku 1907. *m. n.*

Emil Stanisław Rappaport: **„Radykalizm u nas i u obcych"** odbitka z *Kultury*. Warszawa 1908—cena 20 kop. Główny skład w redakcyi *Kultury*, Wspólna 49 — w biurze redakcyi *Prawdy*—Polskie Zjednoczenie Postępowe, Rysia 3, i w księgarni E. Wende i S-ka.

Jerzy Kurnatowski **„O solidaryzmie"**. Biblioteka społeczno-polityczna. Nakładem Polskiego Zjednoczenia Postępowego: Warszawa, 1908. Cena 15 kop. Skład główny w księgarni M. Arcta i biurze Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Pokrewne dążeniem obydwie te broszury, będące echem szeroko już spopularyzowanych na zachodzie radykalnych teoryi, dopełniają się wzajem i winny zainteresować aktualnością tematu postępowy nasz ogół. P. Rappaport oświetla dążenia radykalne przeważnie we Francyi dominującego kierunku z politycznej ich strony — p. Kurnatowski rozwija społeczno-ekonomiczne ich znaczenie. Oba szkice starają się uświadomić szerszemu ogółowi znaczenie solidaryzmu jako teoryi kojącej walkę a szczepiącej pojęcie o współdziałaniu, współpracy i współobowiązku wszystkich warstw i klas w zdobywaniu maximum ogólno ludzkiego dobrobytu i szczęścia — i zachęcają czytelnika do dalszych w tym kierunku badań, ułatwiając to podaniem odnośnych bibliograficznych wskazówek. *J. T.*

„Życie Człowieka"

obrazy L. Andrejewa w przekładzie A. Gliszczyńskiego.

(Sztuka wystawiona w teatrze Kwaśniewskiego pod reżyseryą Bolesławskiego).

Człowieku,—wykształcony na traktatach Sudermana i recenzyach dziennikarskich—wróć od kasy i nie słuchaj sztuki Andrejewa! Człowieku szukający teatru w „Nowościach" a w sztuce dramatycznej rozrywki za swojego rubla, włóż go z powrotem do portmonetki i...idź do bufetu. Człowieku, który uznajesz, że sztuka jest Życiem samem, idź na sztukę Andrejewa".

Szedłem — niechętnie, bo nie chciałbym patrzeć na rozpanoszenie się obcej literatury w naszych teatrach. Wprost kult jakiś zapanował na scenach naszych dla obcych autorów. Nazwisko z polską końcówką jest rugowane przez kulisy i przez audytoryum.

Krzywda się dzieje polskiej literaturze dramatycznej, której wiele jeszcze bardzo dzieł wartościowych leży na półkach księgarskich lub w rękopisach.

Zawdzięczać to należy ogólnej chorobie kultu dla cudzoziemczyzny i bajecznemu upadkowi poziomu smaku artystycznego publiczności, nie poznającej się na zagranicznej tandecie, bo ogłupianej latami całemi przez t. zw. krytykę dziennikarską, sprowadzaną do mianownika pochwały lub nagany.

Na przedstawieniu „Życia człowieka” publiczności było prawie tak mało, jak mało bywa na „Bolesławie Śmiałym”, i jak nigdy nie bywa na „Florette i Patapon”.

Andrejew należy do tej rodziny dramaturgów,—najmłodszej rodziny dramaturgów, którzy sami nie będąc literacką szlachtą z pradziada, dadzą początek sławnemu rodowodowi. Należy on do tych twórców, których nic nie obchodzi jak tworzono dawniej, którzy nie byli w żadnej „szkole”, ani nie praktykowali u żadnego uznanego „majstra”. Andrejew pisze tak, jakby przed nim nikt nigdy dramatu nie pisał, nigdy nie było żadnej sztuki dramatycznej i on pierwszy stworzył teatr. Taka twórczość jest naprawdę twórczością, szczerą, naturalną, prawdziwą i — piękną.

Życie „Człowieka”!

Trudno o temat bardziej banalny. Wszystko jest życiem „Człowieka”. My nie znamy nic po za życiem człowieka, a jeżeli Chochoł Wyspiańskiego,lub Mysikrólik Dygasińskiego także istnieją w literaturze, to tylko dlatego, że autorowie dali im ludzkie dusze.

Co więc specyalnie interesującego można przedstawić w Życiu „Człowieka”? Na pytanie to znajdziemy odpowiedź, jeżeli wyraz „człowiek” postawimy w cudzysłowie. Autora interesuje zagadka bytu człowieka jako istoty przyrodniczej. Ale autor na tem nie poprzestaje, bo i on jak wszyscy inni ludzie na świecie nie rozwiązali tej zagadki. Dramat więc, na tem tle jedynie oparty byłby niemożliwy. Bo samo postawienie pytania nie jest wystarczające dla dramatu.

Ma też autor coś innego do powiedzenia w kwestyi „Człowieka”. Oto Andrejew jest społecznym demokratą i jest zwolennikiem materyalistycznego pojmowania dziejów.

To przypomnienie ani na chwilę nie opuszcza widza—słucham przez całe 5 aktów, raczej obrazów.

Bo Andrejew nie stworzył aktów, w sztuce nie ma akcyi. Tam się wogóle nic nie dzieje. Bohater na scenie przeżywa za dużo, by to wszystko mogło być ujęte w akcyę. Gdyby „Życie Człowieka” przedstawić w akcyi, podług wszelkich prawideł „sztuki”—trzebaby napisać nie 5, lecz 50 aktów.

„Człowiek” Andrejewa właściwie nic nie robi. W drugim tylko i w czwartym obrazie trochę mówi; w pierwszym wcale go nie ma, w trzecim przechodzi raz przez scenę w głębokim milczeniu, w ostatnim—mówi zaledwie dwa słowa. A pomimo to dramat Andrejewa jest wstrząsająco silny. Widzimy więc, że tak silnie strzeżone przez nasze literackie dogmaty, przepisy na „dobry dramat” nie mają żadnej racyi bytu wobec szczerej i prawdziwej twórczości; nie dość,—są dla niej szkodliwe. Bo Andrejew nie trzymał się w Życiu Człowieka przepisów oficyalnej sztuki. Andrejew z charakteru swej twórczości jest malarzem. Dramat jego jest szeregiem obrazów o typowym w plastyce bezwładzie ruchu, obrazów szalonych w kompozycyi, misternych w szczegółach.

A oto te obrazy:

Pierwszy.

W ciemnym pokoju oświetlonym umierającą lampą siedzi w skupieniu grono wiedźm życiowych, postaci kobiecych, symbolicznych, uosabiających głupią złość ludzką i zazdrość szczęścia. Te Furye, ględzące o narodzinach Człowieka, te kumoszki chychoczące nad własną głupotą, staną kiedyś przy umierającym człowieku, by zohydzić mu ostatnie dni smutnego życia. Obok Matka rodzi Człowieka. Wije się w bólach, bo w życiu tak jest, że na grobach róże kwitną, a na pobojowisku zboże się bujniej rodzi, i ze śmierć jednego — to tylko nowe narodziny drugiego.

Urodził się „Człowiek”. I zaraz świecę jego życia zapala Los, Czart czy Przekleństwo, — kamienna, martwa, bezlitosna istota, która igrać będzie przez całe życie Człowieka jego wysiłkami, jego aspiracyami, pracą, talentem, sławą, szczęściem, — aż jej świeca w ręku zgaśnie, — w chwili śmierci Człowieka. Los ten jest motywem zagadkowym sztuki, — motywem najzupełniej dramatycznym, bo fatalistycznym.

Martwa postać ta, jest efektowną, jest wstrząsająca w swej obojętności i w swej fatalistycznej konieczności dopalenia się świecy, i jest kompozycya—nadająca charakter całemu utworowi, charakter dziwnej impotencyi, — bo z tej postaci domyślamy się już, że nie może być w sztuce ze strony Człowieka żadnego czynu, tylko samo bierne cierpienie, co też jest w samej rzeczy; — bo niemożliwym jest czyn tam, gdzie jest siła wyższa—Fatum.

To też oczekujemy już tylko obrazów, które autor roztacza przed nami z zadziwiającem bogactwem w kompozycyi, w tonie, w kolorach i w wysubtelizowaniu najdrobniejszego szczegółu,—dając ciągle coś nowego z siebie,—to tragika, to satyryka,to liryka to krotochwilistę, to filozofa.

Urodził się Człowiek, kumoszki zmilkły, ale przyszła szajka przyjaciół, gotowych winszować ojcu narodzin Człowieka, lecz którzy uciekną od niego w chwili nieszczęścia.

Autor daje tu scenę, w której krotochwilnie załatwia się z kretynizmem tych maleńkich ludzkich parodyi, rozmawiających o wilgoci, papierosach, bocianach, lekkomyślności — jednocześnie, z równą powagą — wobec wielkiego faktu — narodzin „Człowieka”.

Kurtyna spada, — i znów inny obraz.

„Człowiek” jest już dorosłym człowiekiem, młodym, silnym, zdrowym, utalentowanym, twórczym. Jest budowniczym, ma żonę, którą kocha. Są jeszcze bardzo biedni. Sąsiedzi ich kochają, ale świat ich nie zna.

Ale Człowiek i jego żona — to nie mrówki,—to koniki polne. Śpiewają i tańczą, — szukają zgubionych pieniędzy, czekają na traf szczęścia, zazdroszczą posiadaczom, rzucają się głodni na darowany chleb, ale są lekkomyślni.

Marzą o wielkości,—ale nie „tworzą” jej.

Typowi determiniści, i typowi utopiści społeczni. W tym obrazie autor dał folgę swym gniewom antiburżuazyjnym, i dlatego może właśnie, że akt ten jest tendencyjnym,—jest on najsłabszym, pozbawionym wyższej wartości artystycznej, naciągnięty do wypowiedzenia zdawkowych sofizmatów i pytań, w rodzaju: dlaczego on ma, a ja nie mam. W akcie tym, który najwięcej jednak ma cech „aktu”, i odbiega co do charakteru od innych obrazów,—żona „Człowieka” wypowiada długi monolog nudny i naiwny,—sąsiedzi mówią jeszcze banalniej, ale sam „Człowiek” za to nie robi wrażenia ofiary Fatum, lecz sprawcy własnej niedoli. Dla tych przyczyn akt drugi wydaje się być mylnym w budowie, nieudatnym w kompozycyi, niezharmonizowanym z całością. Zato trzeci jest arcydziełem.

Z obrazu tego sądząc, jest się pod wrażeniem imponującej kompozycyi. Autor wydaje się być przedewszystkiem satyrykiem o niezwykle szerokim rozmachu, strasznej sile chłosty, i karykaturalnych konturach.

Cały ten bal u „Człowieka” — budowa sali, układ gości, ich rozmowa przepaściście nudna i faryzeuszowsko-pieczeniarska, — ten ich „zaszczyt i cześć”,—obumarła muzyka, odpowiednia dla Charona na wodach Styksu, szarpiąca nerwy przez cały akt, taniec gości, żywcem wzięty z szopki, występ gospodarza martwo-ceremonialny, — zaproszenie do stołu przez majordoma, podobne do gonu pastucha, pędzącego trzodę do koryta,—wszystko to jest przepyszną satyrą na stosunek świata do Człowieka, opływającego w Sławę, Bogactwo i Szczęście.

Ale to szybko mija. Bo czwarty obraz już ma za tło—olbrzymią bibliotekę pustą po książkach sprzedanych na zapłacenie doktora, który próżno ratuje od śmierci umierające z wypadku jedyne dziecko „Człowieka”. „Człowieka” już zapomniano, bo Człowiek już jest siwy, stary i przeżył się. „Człowiek” jest biedny — i nie ma ratunku. Więc zgiął dumne kolana i... modli się, — rozmawia z Bogiem, prosi go o życie dla syna, przeprasza za swoje grzechy i tłomaczy Bogu, że On przecież jest dobry, nie powinien chcieć niczyjej krzywdy, tembardziej małego dziecka.

Ale Bóg nie wysłuchał, więc dziecko umarło, a „Człowiek”—przeklina „Fatum”.

W obrazie tym autor przejawił wielką siłę w kierunku wywołania tragizmu z pomocą prostych środków, — a mianowicie, — w momencie modlitwy „Człowieka”—bezbronnego, bezsilnego, wierzącego i zawiedzionego.

I tuż obok tej tragicznej chwili daje nam autor tyle tkliwego liryzmu w scenie, gdy „Człowiek” całuje i przeprasza pajace—zabawkę swego chorego dziecka, którą przed chwilą w smutku i irytacyi rzucił był na podłogę.

I cóż pocznie Człowiek, złamany nieszczęściem, na proch starty przez Fatum? Czy się ograniczy na przekleństwie: czy dobędzie wszystkich sił, weźmie los za łeb i znów będzie panem „Człowiekiem”?

Byłby to prawdziwy dramat.

Ale Andrejew nie uznaje przepisów t. zw. konsekwencyi psychologiczno-życiowej. Andrejew jest najzupełniejszym anarchistą w literaturze, i to stanowi jego siłę, bo tylko śmiałe zerwanie z tradycyami, kanonami dramato-pisarskiemi może zapewnić dalszy rozwój tej najwykwintniejszej formie literackiej, autorowi zaś stanowisko sceptycznego poszukiwacza prawdy w przełomowej epoce historyi dramatu.

W piątym obrazie „Człowiek” umiera, — z przekleństwem na ustach dla swego „Fatum” z dogasającą świecą, — umiera w norze alkoholików, otoczony przez te same furye, wiedźmy i kumoszki, które były świadkami całego jego życia, które drwiły z jego szczęścia i cieszyły się z niedoli, które się śmiały z narodzin i tańczą nad trupem.

Taką jest sztuka.

Dramat czy nie dramat, sceniczny, czy nie sceniczny, poprawny czy nie poprawny,—utwór ten jest najczystszą literaturą, dziełem szczerego, olbrzymiego ducha, wszechstronnego talentu i niebylejakiej myśli.

Jest czystą sztuką, bo daje nam szmat Ideału.

Człowiek jest bezwładną materyą—z której może powstać duch władczy tylko w odpowiednich warunkach — oto filozofia Andrejewa - społecznika.

Słowo—jest farbą i jest tonem. Można niem malować obrazy i konstruować symfonię—za pomocą układania słów w kategoryę, jak plamy i warstwy farb na obrazie i jak leit-motywy w operze — oto filozofia Andrejewa - artysty. W dziele jego wieje czysto rosyjski bezbrzeżny smutek, krańcowy pesymizm i dzika beznadziejność, kończąca się alkoholem.

Gustaw Olechowski.

HEJNAŁ WŁÓCZĘGI.

„Rozbudzę dom ten, gdzie
się mieszczę
i w słońce pocznę bieżeć".

....Pochowacie mnie sumptem nienawiści, jako obcoziemca i włóczęgę.

Wam, spółczesnym — oszklone wozy, wam — czwórka koni — czarne pióropusze, wam — cech rzeźniczy, dzienniki, mowy i chorągwie.

I biała karrara — i w złocie żłobione litery... i anioł na jednej nodze w proszalne dłonie przyjmujący wolną od podatku darowiznę z ducha.

A za trumną wdowa, co kryje w dłoni śmiech, zmieszany ze łzą znużenia.

Niech błogosławi śmierci waszej i emeryturze.

Od zaboru do zaboru gnan, manierą pruską z ziemi, com jej nigdy nie miał, wywłaszczon; z praw, com je miał za nic, wyzut— pochowan będziesz manierą krakowską.

Przez żywe groby zabite w cztery ćwieki moralu.

O doktory, doktory żadnego prawa beztalentu: odnowiciele, coście nie odnowili jednej tkani własnego ducha, budowniczowie — którzy nie stworzyliście siebie — o wrogi życia, mikrowrogi kosmosu!

Na was jutro jeszcze, opornych trzymając za słuchy, wjadę, jak pan, do Jeruzalem sztuki polskiej — sztuki świata i pobuntuję wam młodość!

A harapu mi nie całować...

Za mną nie stoi nikt: żadna klasa—żadna partya.

Ni wam za mnie *zapłaci* rodzina — ni przyjaciele — ni kochanka, ni dziecko — mściciel.

Nie jestem tu z żadnej łaski kierunku, szkoły, prądu.

Nie za grobem ojców — kościołem — bractwem i gromadą szukałem cienia.

Niczyim tu poddany — sługa-obywatel.

Bez towarzyszy — sam przez się — w sobie sam!

My z łaski własnej — każdego Jutra człowiek — twórca — pan!

My — z żarów żar, my z piekieł piekło, dyablu dzięki, potencyał jadu, nici pajęczej — miłości, mordu i rabunków, my, co tchu i po ostatnie tchnienie, zbuntowana ziemia wszystkich nasion piękna, ognia, mo-żliwości...

Dusza...

Konam — tworzę. Nienawidzę—jestem!

Dam wam chwilę Boga — uśmiech tajemnicy, a z poza ramienia — śmierć.

Tyle skonu — ile tworu...

I oto zaledwie się zbiera Dusza.

Utracony w stu strzaskanych światach, w sto pierwszym odzyskany talizman mocy.

Niby mi usta we śnie zroszono róży czarownym oddechem.

Nie zniszczysz mnie dotąd, nie zagłodzisz. Nie wplujesz we mnie choroby ust całego pokolenia.

Wołam Cię, Duszo — wołam, pierworodna, wołam moja, moja tylko.

Wołam, ażebyś w samem poczęciu, jak konaniu:

Myśl — Wola — Rozkaz, pierwszem dla mnie Prawem-Bogiem była!

Zabiję — złamię — jeżeli nie ukochasz się nad Wszystko!

Zabiję — jeżeli mi z krwi mojej nie zrodzisz Dziecka.

Uczynię z Ciebie nałożną sługę: niech cię zarażą, niech cię mają za miejsce — porę — kawernę — szczelinę.

Zabiję — jeżeli nie odewrzesz listu, co niesie Ci królestwo lub niesławę.

Zabiję — jeżeli, jak Jehowa, nie pomścisz sodomii od serca nieoddartej myśli.

— i nie rozstrzaśniesz skłóconych, mlecznych dróg na wiry — szały — losy z wielobytu wygałęzionych mgławic!

Duszo!

Wezbrana szałem dumnej rozkoszy bogów.

Zwolana, niepowtórzona.

Duszo!

Ja — oddam cię rozpuście — pijaństwu, przedwczesnej śmierci —

— jeżeli na przedprożu Boga nie padniesz twarzą oziem:

Słuchaj!

„Kto wolny, zaczem wolny, kto sam od się dawa prawa i początek światom.

Jam jest, który jest. Świt jutra.

Niema zjáwy nieprzenizanej nerwem jedności mego bytu.

Niema takiej, żeby ona nie wyśniła się we śnie mojej rzeczywistości.

Wszystkie bogi mi wrogie przeciwstawne — chaos, niebyt...

Chociażbyś je czcił milionem rozmodlonych ust —

I w poddańczej lubieży lizał ich prochy—

Chociażbyś wydźwignął do nich pod nieba kamienną pieśń —

Ja w łunach ukażę ci ich nicość i strącę w nicość!

Będą, gdy pozwolę, ażeby żyły na płomiennym ekranie mózgu.

Jeśli ich nie zmiecie krwi konieczność.

Jeżeli ich nie stopię w żarnej dłoni mojej, jako formy łomkie w ogniowej próbie, na sądach bożych... jako one pierwsze nieskrzesane twory mlecznej ziemi: milowe gady paprocich lasów o krokach wieku, ale głowach — szpilki.

Imię wam: gro-ma-da.

Grzegorz Glass.

NA DOBIE

Uwagi...

Słowo (Nr. 98) polemizuje z postępową demokracyą o stanowisko Koła polskiego w Dumie. Według *Słowa*:

„Jednem z kardynalnych naszych wskazań programowych jest występowanie posłów Polaków w jaknajpełniejszym charakterze członków instytucyi ogólno-państwowej, Dumy Państwowej. Samo przyjęcie mandatu poselskiego obowiązuje ich do tego. W najżywotniejszym naszym własnym interesie leży, wykazać narodowi rosyjskiemu, że my Polacy chcemy i potrafimy być pożytecznymi a nawet wręcz niezbędnymi pracownikami w sprawach nietylko wyłącznie narodowych polskich lub miejscowych. Wypominając rządowi i nacyonalistom rosyjskim, że nie chcą nam, Polakom przyznać pełnych praw przysługujących obywatelom Państwa Rosyjskiego, nie możemy uchylać się od obowiązków z obywatelstwem tem związanych".

Nie wydaje się nam, ażeby zdaniem egzaminu na „pożytecznych a nawet niezbędnych pracowników" było można uzyskać coś więcej, niż tytuły i odznaczenie honorowe dla tychże pracowników.

Musimy podkreślić, że polemika skierowana była pod niewłaściwem adresem. Postępowa Demokracya dokonała fuzyi z Polską Partyą Postępową i żywiołami bezpartyjnymi. Wzmiankowało o tem *Słowo* przed kilkoma miesiącami. Po drugie, niezgodnym jest z rzeczywistością nadawanie *Nowej Gazecie* charakteru organu Postępowej Demokracyi wbrew kilkakrotnym kategorycznym oświadczeniom redakcyi *Nowej Gazety*, że była i jest pismem niezależnem. Po trzecie, wydaje się nam, że *Słowo* źle zrozumiało i oceniło stanowisko dawnej Postępowej Demokracyi w omawianej sprawie.

Rzecz tę wyjaśnimy na innem miejscu przy bliższym rozbiorze zasadniczej kwestyi taktyki, jakiej powinno się trzymać przedstawicielstwo polskie w Izbie państwowej.

Rd.

Inna „Prawda".

Na obszarze etnograficznej Polski wychodzi inna *Prawda*. *Prawda—die Wahrheit*, organ dwujęzyczny, polsko-niemiecki, redagowany w galicyjskiej miejscowości Bielsko-Biała przez niejakiego Ludwiga Schneppa. Pismo to szeroko rozchodzi się w Łodzi i jej okolicach, kolportowane przez swoich licznych przyjaciół, tych samych zapewne, dla których kwestya szkoły niemieckiej w Łodzi jest obecnie najważniejszem zagadnieniem chwili. Księgarnia Pommer i Erdman w Łodzi przyjmuje prenumeratę.

Posłuchajmy, jak owa *Prawda — die Wahrheit*, „organ dla pouczania robotników i obrony ich interesów" poucza w artykule z dnia 21-go grudnia r. z., zatytułowanym „Polsko-niemiecki spór szkolny w Łodzi". Powie może kto, że to stara rzecz. Nie! Są rzeczy wiecznie młode, które zawsze czytać warto. Należy znać prasę swojego kraju, tembardziej *Prawda* powinna znać swoją imienniczkę.

A więc słuchajmy. „Polsko-niemiecki spór szkolny w Łodzi może być, jak nam donoszą, uważany za skończony. Gubernator Piotrkowski zezwolił na rozdział kas szkolnych. W ten sposób naprawiona zostaje krzywda, wyrządzona niemieckim kontrybuentom szkolnym i Niemcy nie muszą znosić od Polaków przepisów, wiele dzieci oni do szkół posyłać mają".

Istotnie — biedni Niemcy! Łódź na 300 tysięcy mieszkańców liczy Niemców koło pięćdziesięciu tysięcy, którzy powinni znać polski język, gdyż mieszkają w Polsce. Autor artykułu sądzi jednak inaczej: „Niemcy bowiem są w Łodzi tak samo jak Polacy w domu i przynależni". Wychodząc z tej samej zasady, należy uznać, że 80 tysięcy Polaków, zamieszkałych w Berlinie są również u siebie w domu i mają prawo żądać, aby miasto wybudowało im odpowiednią ilość polskich szkół. Nasz autor nie zgodzi się jednak z podobnym wnioskiem; polskiego języka nawet dzieci Niemców w Polsce zamieszkałych uczyć się nie powinny, bo „gdyby dzieci te się spolszczyły, natenczas po śmierci rodziców cały ich majątek by został rozproszony, gdyż bardzo mało Polaków jest w stanie nagromadzić majątek, a jeszcze mniej tenże u-

trzymać, chyba że on już jest tak wielki, że przy znanej rozrzutności nawet procent od tegoż nie mógłby być zużytym". Nasz publicysta widocznie jest zdania, że *męskie* rozkosze, którym oddaje się kwiat arystokracyi i burżuazyi niemieckiej są tanie. Tej kwestyi nie możemy przesądzać, ale czemuż to kolej bagdadzka, ten pokojowy środek podboju Turcyi, stanęła na pierwszych kilometrach i Niemcy daremnie wyciągają ręce ku kieszeniom francuskim? Czemuż to Niemcom zbrakło pieniędzy na stworzenie swoich Indyi, skoro są tak bogaci, pracowici i oszczędnili? Takie pytania nasz autor uzna zapewne za niewdzięczność ze strony Polaków, bo zawdzięczamy Niemcom wzrost Łodzi.

Gdy Niemcy łódzcy pracowali „co czynili ale nasi Polacy?", zapytuje autor piękną polszczyzną i odpowiada: „Oni mieszkali z lewej strony starego rynku, uprawiali rolnictwo i zapijali się na śmierć jeden za drugim. Budy drewniane, w których oni mieszkali, stoją dziś jeszcze, wyglądają one raczej podobne kupom gnoju jak ludzkim siedzibom. Jak wygląda ale ta część Łodzi, w której się Niemcy osiedli? Oni pobudowali fabryki, a także i wille"." Jeżeli Niemcy to uczynili, to bynajmniej nie z miłości ku nam, lecz dla napchania własnych kieszeni. A jeżeli, mimo to wnieśli trochę kultury technicznej, to stało się to siłą konieczności, zresztą w ten sam sposób, jak w środku zeszłego wieku w rolniczych Niemczech pierwsze fabryki zakładali Anglicy i dawali impuls niemieckiemu przemysłowi. Jednak żadne najwięcej szowinistyczne pismo angielskie nie wyraziłoby się w ten sposób o Niemcach, jak mówi o Polakach „polskie" pismo *Prawda — die Wahrheit.*

Autor omawianego artykułu twierdzi bowiem, że jest również Polakiem, a mógłby on też być zamożnym, ba, nawet żonatym, gdyby nie płynęła polska krew w jego żyłach". Wobec tego, jako „Polak" autor wyraża swoją radość, „że Niemcy wreszcie sobie przypomnieli, że są krzewicielami oświaty u nas i ludowi naszemu czynią przysługę, zakładając *liczne* szkoły niemieckie w Polsce".

Dość tej polemiki z płatnym ajentem hakatystycznego świstka. Nie o nią chodzi. Chodzi o stwierdzenie faktu, że podobne piśmidło istnieje u nas, że drukuje się w połowie popolsku i że jest kolportowane w Polsce. Orgia hakatystyczna, wszechpotężna i nie spotykająca żadnego faktycznego oporu w samych Niemczech, przeniosła się za słupy graniczne. Planowa germanizacya ziemi Dobrzyńskiej w Płockiem, tworzenie niemieckich szkół w Łodzi i... w Warszawie, odrodzenie „uciśnionej" niemczyzny w Galicyi — oto objawy zaborczego hakatyzmu, przelewającego się po za polityczną granicę Niemiec, a ideową propagandę tego ruchu prowadzi jego organ *Prawda — die Wahrheit.* Nie wątpimy, że robotnicy łódzcy potrafią poznać się na farbowanych lisach i że nie zechcą propagować tego „organu dla pouczania robotników i obrony ich interesów". Niemniej jaknajpilniejszą uwagę powinno zwracać społeczeństwo polskie na wszelkie zakusy hakatyzmu i dawać im jaknajsilniejszy odpór. W rozgwarze chwili nie zapominajmy, że etnograficzna granica Słowiańszczyzny Zachodniej przesuwała się stopniowo od Elby do Odry, od Odry dziś przesuwa się ku Wiśle, ujście której już jest dla nas stracone. Chcąc istnieć, za jaką bądź cenę musimy sypać wał ochronny od Zachodu, bo stamtąd, z Prus, z tego wrzodu Europy, biją na nas najsilniejsze i najniebezpieczniejsze fale.

J. Kurnatowski

Szał smutku.

Pod tym tytułem w artykule wstępnym *Kultury polskiej* za kwiecień czytamy spokojne uwagi o pożerającem nas obecnie upodobaniu do zabaw:

Jest to to stale powtarzającem się i dawno dostrzeżonem zjawiskiem, że podczas wielkich klęsk wybucha w społeczeństwie gwałtowna chęć zabawy i odurzania się. Pamiętnikarze nasi z XVIII w. opowiadają, iż w epoce rozbiorów Warszawa wyprawiała tak gorące bale, że kobiety nie wstydziły się tańczyć z pierścionkami na palcach stóp obnażonych. Również wszystkie epidemie cholery podnosiły u nas natężenie karnawału. Najhuczniej przebiegał on za rządów Hurki i Apuchtina. W latach 1906 i 7, kiedy nad krajem naszym chwilowo rozpostarło się pogodniejsze niebo, prawie wcale nie bawiono się publicznie. Natomiast w roku obecnym — w roku wywłaszczenia Polaków z ziemi przez rząd pruski, w roku powszechnej ruiny ekonomicznej, nędzy, wojny domowej, niedoli ludu robotniczego — przez kilka zapustnych tygodni balowano bez pamięci i przerwy. Z tym faktem zestawić należy inny, który z nim wiąże się ukrytą nicią: jednocześnie w najbardziej przemysłowych okręgach kraju, gdzie bezrobocia, zamęty i odwety zniszczyły ludność fabryczną, najwięcej wypito wódki.

Nie ulega wątpliwości, że nasze społeczeństwo posiada może liczniejszą, niż zachodnio-europejskie, warstwę pasorzytów, łaknących ciągłej uciechy i nieodczuwających ani nieszczęść, ani ubóstwa narodu. Te żywioły, które wyniszczyły, sprzedały lub przehulały ojczyznę, nie roztopiły się w ogniach jej cierpień i grasują dalej obojętne na to, dokąd ona wlecze swój niewolniczy żywot. Ale niepodobna im przyznawać wyłącznie siły tworzenia nastroju społecznego, a nadmiernych pragnień zabawy przypisywać tylko lekkomyślności. Działają tu jeszcze inne przyczyny, a przedewszystkiem ta, która pozornie winna go tłumić — mianowicie wielki smutek. Jeżeli porównamy obecne usposobienie naszego ogółu z przeddwuletniem, to dostrzeżemy ogromną różnicę i spadek wiary, sięgający do zupełnego zwątpienia i rozpaczy. Cały wiek niewoli, która zamiast łagodzić,coraz bardziej zaostrzała narzędzia ucisku i ścieśniała warunki życia, spotęgował u nas pragnienie swobody i zbudził jej złudnym świtem nadzieje, wyrównywające swą fantastycznością nieprawdopodobieństwu doznanych krzywd i przebytych cierpień. W społeczeństwie otworzył się wulkan, który wyrzucał z siebie gorącą lawę pragnień, żądań i oczekiwań. Gdy wreszcie ów świt przygasł a wulkan został ostudzony; gdy okazało się, że niemiłosierna rzeczywistość spełni zaledwie drobny skrawek wielkich marzeń, bezwład ogarnął energię a zwątpienie wiarę. Naród z natury swojej uczuciowy a nienaturalnem położeniem rozwrażliwiony, skłonny zawsze do przerzucania się w krańce nastroju, szybko przeszedł od oskrzydlonych uniesień do pełzającego przygnębienia. Zaczął więc uśmierzać dokuczliwą melancholię zapojem karnawałowym. Rzucił się zaś weń tem gwałtowniej, że z krótkiego okresu złudzeń pozostała mu masa rozbudzonych sił, których już teraz nie może zużytkować w zamkniętych ujściach i w ograniczonych polach pracy. Jeżeli jej warunki się nie rozszerzą, możemy przewidywać w dalszym ciągu objawy szału zabawowego który wybuchał stale w najcięższych chwilach naszego życia społecznego.

Z zebr. dysk. P Z P

Ostatni wieczór dyskusyjny w „Polskiem Zjednoczeniu Postępowem" poświęcony był: *giełdom pracy.* W zastępstwie nieobecnego p. Adama Roszkowskiego p. E. St. Rappaport odczytał jego referat, podnoszący znaczenie giełd pracy, które na zachodzie odgrywają rolę pośrednika i regulatora zawodowego życia i są ważnym politycznym czynnikiem. Następnie dyskusyę podjęli p. Kroński proponując założenie u nas biura pośrednictwa pracy, p. Wilamowski zaś proponował założenie instytucyi rozjemczej między pracownikami i pracodawcami, co jednak p. Biberstein czynił zależnem od uzyskania odnośnego materyału statystycznego. Dalsza bardzo ożywiona dyskusya nie wyczerpała naturalnie tematu, który w obszerniejszym zakresie będzie przedmiotem następnych zebrań w P Z P

We wtorek 14 b. m. odbędzie się o godz. 8 wiecz. w lokalu P Z P (Rysia 3) zebranie dyskusyjne dla członków stronnictwa. Porządek dzienny obejmuje następujące tematy: Rewizyonizm, kooperatyzm i syndykalizm reformistyczny. Zagai p. Jerzy Kurnatowski.

T K P

W „Towarzystwie Kultury Polskiej" ostatni wieczór dyskusyjny poświęcony był „Związkom zawodowym". Zagaił zebranie p. Kronenblech Kroński przedstawiając znaczenie organizacyi robotniczej. W dyskusyi, jaka się następnie wyłoniła, zabierali głos pp. J. Kurnatowski, J. Suchorzewska, adw. Cz. Mejro, Balicki i inni.

KRONIKA.

Parlament niemiecki uchwalił w drugiem czytaniu projekt ustawodawczy o stowarzyszeniach i zebraniach, przyjął również wniosek, aby prawo otrzymało moc obowiązującą od dnia 28 maja 1908 r. Paragraf 7 przeszedł większością 200 głosów przeciw 179, paragraf 8, zabraniający osobom, nie posiadającym lat 19, przyjmowania udziału w publicznych politycznych zebraniach i należenia do stowarzyszeń politycznych przeszedł większością 200 gł przeciw 181.

Ustawa giełdowa uchwalona została w brzmieniu, przyjętem przez komisyę; centrum i Polacy głosowali przeciw ustawie. Parlament ma być zamknięty w końcu b. t. Wobec zbliżających się wyborów do sejmu pruskiego wszystkie stronnictwa przystąpiły już do agitacyi przedwyborczej, wolnomyślni występują przeciw konserwatystom, mimo kompromisu w parla-

mencie, i przeciw centrum; socyalni demokraci zwalczają gwałtownie wolnomyślnych. Kompromis wyborczy centrowców z polskim komitetem wyborczym Górnego Śląska, stał się faktem dokonanym, jak się okazuje z *Schlesische Volks Ztg.* W Berlinie odbył się wiec polski z powodu uchwalenia paragr. 7 ustawy o stowarzyszeniach, przemawiali gwałtownie przeciw ustawie Kościelski i Korfanty; przyjęto uchwałę potępiającą ustawę o stowarzyszeniach; w wiecu brało udział kilka tysięcy osób.

W komisyi bankowej sejmu węgierskiego rozpoczęły się obrady w sprawie utworzenia samodzielnego węgierskiego banku państwowego. Według informacyj *N. Fr. Presse* za utworzeniem banku oddzielnego głosowałoby w izbie 110 posłów z partyi niezawisłości 30 zaś posłów z tejże partyi jest przeciw rozdziałowi, 11 zaś zrobi to co zadecyduje kierownik partyi, Kossuth. Za status quo stoi „ugoda" węgierska (stronnictwo r. 1867) w liczbie 90, oraz partya ludowa, wraz z obcemi narodowościami, które mają tylko 50 przedstawicieli. W ten sposób rozstrzygnięcie kwestyi zależy właśnie od Kossutha. Czescy posłowie podczas ostatnich narad z bar. Beckiem oświadczyli, że wierzą w dobrą wolę prezydenta ministrów i zaczekają aż do ogłoszenia nowej ustawy językowej. *Nar. Listy* stwierdzają, że Czesi nie prowadzą polityki osobistej i wcale nie zależy im na dymisyi ministra Kleina.

Francuska izba deputowanych uchwaliła projekt prawa o amnestyi. Amnestya ta obejmuje uczestników zeszłorocznego ruchu właścicieli winnic, tudzież winnych wykroczenia przeciw przepisom o zebraniach i prasie. Przyjęto formułę przejścia do spraw bieżących, wyrażającą zaufanie do rządu i nadzieję, że rząd między innemi, zabezpieczy robotnikom emeryturę, wprowadzi podatek dochodowy, których to reform pragnie większość izby.

Angielski premier ministrów, Campbell Bannermann podał się do dymisyi, miejsce jego zajmie Asquith. *Daily News*, mówiąc o Asquith'le twierdzi, że działalność nowego premiera będzie popierana przez wszystkie stronnictwa, które znalazły w Bannermann'ie wodza, wybranego w czasie niesnasek. Gazeta wątpi, czy mimo to stronnictwa te pogodzą się z rządem, który by nie miał zamiaru posunięcia naprzód sprawy reformy socyalnej. Ani Irlandczycy, ani partye robotnicze nie żywią do Asquitha tego nieograniczonego zaufania, jakie miały do Bannermanna.

* * *

— Podczas rozpraw nad projektem preliminarza Synodu, Koło polskie powstrzymało się od głosowania. Pos. Dymsza to stanowisko tak umotywował: „Biorąc pod uwagę, iż w preliminarzu Synodu wydatki, odnoszące się do Królestwa Polskiego, nie są wydzielone w osobnej pozycyi i nie są wskazane wydatki na potrzeby lokalne narodu rosyjskiego, względem którego zachowujemy zawsze zupełne uznanie, nie uważamy się za uprawnionych do głosowania przeciw i dlatego od głosowania wstrzymujemy się".

— Reskryptem Najwyższem sejm finlandzki został rozwiązany, nowe wybory oznaczone zostały na 1 lipca b. r.

— Rada seniorów Dumy postanowiła cofnąć z porządku dziennego interpelacye finlandzkie i interpelacyę w sprawie działalności ochrany wileńskiej.

* * *

— W Lublinie zabity został komisarz cyrkułu sztabs-kapitan Saks.

— W Tyflisie pięciu uzbrojonych ludzi zabiło rewirowego, ujęto 6 osób.

— Przedłużono stan ochrony nadzwyczajnej w niektórych miejscowościach Turkiestanu.

* * *

— Masowych rewizyj i aresztowań dokonano w ciągu tygodnia w Radomiu.

— Prawie we wszystkich cyrkułach Petersburga policya dokonała 3 b. m. licznych rewizyj i aresztowań. Skonfiskowano mnóstwo wydawnictw nielegalnych, rewolwerów i naboi, zrewidowano wiele drukarń.

— W Warszawie aresztowano znaczną ilość osób. Liczba więźniów w ratuszu 4 b. m. wynosiła 275, liczba więźniów na Pawiaku wynosiła 719 osób.

— Władze miejscowe otrzymały zawiadomienie, iż z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych rozkazano zamknąć „Towarzystwo żydowskie terytoryalistów" wraz ze wszystkimi oddziałami. Towarzystwo to ma główną siedzibę w Warszawie, oddziały zaś we wszystkich większych miasta Królestwa i Cesarstwa.

— W Radomiu przy rewizyi, zarządzonej w więzieniu miejscowem w celach znaleziono: trzy rewolwery i przyrząd wybuchowy. Zarządzono energiczne śledztwo.

* * *

— W Petersburgu ukazał się pierwszy numer pisma pod tytułem *Nasza Gazeta.*

— W Moskwie ukazał się w języku polskim *Tygodnik Słowiański* literacki, poświęcony stosunkom społecznym i handlowo-przemysłowym kolonii polskich w Cesarstwie. Pismo redaguje p. Ludomir Wąsowski.

— Wydawnictwo *Przegląd Poranny*, z decyzyi generał gubernatora, na zasadzie par. 12 przepisów o stanie wojennym, skazane zostało na 100 rb. kary.

— Senat pozostawił bez skutku skargę kasacyjną redaktora *Głosu Narodu* i *Wiadomości*, Szirskiego, skazanego na zamknięcie w twierdzy na $1/2$ roku.

— Petersburska izba sądowa, w sprawie wydawcy i redaktora *Teraźniejszego życia*, oskarżonych z par. 103 i 129 skazała redaktora Zarina na półtora roku twierdzy, wydawcę Soskina, na 100 rb. kary.

* * *

— Deputacya przełożonych szkół prywatnych, która udała się do Petersburga w celu wyjaśnienia pewnych kwestyi, związanych z rozwojem naszego szkolnictwa, powróciła do Warszawy. Głównym celem wyjazdu deputacyi była sprawa obsadzenia posad nauczycieli historyi i geografii, co do czego władze miejscowe stawiają trudności. W skutek starań deputacyi, kwestya ta ma być w tych dniach rozpoznawana na naradzie specyalnej w ministeryum oświaty.

OGŁOSZENIA.

KULTURY, miesięcznika, wychodzącego pod redakcyą **Zenona Pietkiewicza**, ukazał się w druku zeszyt trzeci i zawiera następujące prace:

Przywilej celny (krytyka liberalizmu i nacyonalizmu ekonomicznego) — J. Kurnatowski; Rodzina — dr. Miklaszewski; Dzieje grzechu — J. Iwański; O istocie współczesnego dramatu polskiego — J. Bełcikowski; Litwa (studyum) — Z. Pietkiewicza; Ze sceny i z estrady — St. Barycza i w—wskiego; Zamiast Kroniki (myśli melancholika) — Noniec; nowe książki; notatki bibliograficzne; przegląd miesięczników polskich i cudzoziemskich; z ruchu kobiecego; polemika; J. L. Popławski; Solidaryzm (tłomaczenie) Leon Bourgeois.

Adres Redakcyi: **Warszawa, Wspólna 49.**

Prenumerata zamiejscowa 8 rb. rocznie; miejscowa 6 rb. rocznie.

A. Świętochowski.

O prawach człowieka i obywatela

O prawach mniejszości.

Cena kop. 20 z przesyłką rekomendowaną kop. 25.

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rb. 2.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w., od r. 1800—1888** — rb. 3. k. 30.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

„NOWA GAZETA"

Jedyny w Królestwie Polskiem wielki organ postępowy i demokratyczny

poświęcony polityce, sprawom społecznym, ekonomicznym, oraz **literaturze i sztuce.**

wychodzi dwa razy dziennie.

„Nowa Gazeta", prócz zasadniczej treści, obejmuje codzienny dodatek samodzielny p. n.

„Gazeta Handlowa"

poświęcony sprawom handlowo-ekonomicznym; dwa tygodniowe dodatki: 1) literacko-artystyczny p. n.

„Literatura i Sztuka"

i 2) popularno-naukowy p. n.

„Nauka i życie".

oraz obszerne i treściwe artykuły i korespondencye prowincyonalne stale zamieszczane w dodatku p. n.

„Echa Prowincyonalne".

Całość składa się na pismo, które tak treścią, jako też objętością przewyższa wszystkie inne pisma, wychodzące w Warszawie.

W odcinku zamieszczane są utwory najznakomitszych pisarzy polskich.

Prenumerata wynosi: miejscowa: rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4,50, kwartal. rb 2,25, miesięcznie kop. 75, a nadto 10 kop. miesięcznie za odnoszenie; **na prowincyi:** rocznie rb. 11, półrocznie rb. 5.50, kwartalnie rb. 2,75, miesięcznie rb. 1; **zagranica:** rocznie rb. 16, półrocznie rb. 8, kwartalnie rb. 4, miesięcznie rb. 1.45.

Główna Administracya i Kantor Warszawa—ul. Szpitalna 10.
Telefonu Nr. 82 76.—Nadto filie.

„Kultura Polska"

M I E S I Ę C Z N I K,

organ Towarzystwa Kultury Polskiej

pod redakcyą **Aleksandra Świętochowskiego**

wychodzi w Warszawie od Nowego Roku.

Prenumerata: dla członków T. K. P. — rb. 2 kop. 25, dla nieczłonków rb. 3 kop. 25 rocznie z odnoszeniem i przesyłką.

Prospekt z numerem okazowym wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

„SFINKS"

miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy

pod redakcyą **Władysława Bukowińskiego.**

Wyszedł zeszyt III (marcowy) i zawiera:

I. Portret Stefana Żeromskiego. II. Ignacy Matuszewski: „Żeromski i **Dzieje grzechu**" (studyum). III. A. Lange: „Wenedzi" (fragment z tragedyi). IV. Z. Rygier-Nałkowska: „Rówieśnice", powieść. V. J. Kodisowa: „Krytyka pojęć naukowych". IV. **Poezya**: F. Arnsztajnowej: „Jezioro"; T. Micińskiego: „Jan z Lejdy"; E. Bogdanowicza (Bożydara): „Quasi-Ekloga"; J. Lemańskiego: „Złota Legenda"; R. Kreczmara: „Na fali", „Nie idę sam"; M. Wikszemskiego: „Na wędrówce". VII. Adolf Nowaczyński: „Greckie tragedye Stanisława Wyspiańskiego" (studyum). VIII. St. Stasiak: „O ty boskie słońce" (nowela). IX. Adolf Chybiński: „Chopin—Moniuszko i ich stanowisko w muzyce polskiej". X. W. Kiślańska: „Listy literac.-art. z Paryża". XI. **Oceny i sprawozdania**: „Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej", „Hist. literatury polskiej" I. Chrzanowskiego, „Litwa" Romera przez A. Brücknera; „Oedipus Tyrannus Schellye'a (przekł. Kasprowicza), „Ballada o słoneczniku" i inne poezye Jana Kasprowicza" przez A. Drogoszewskiego; „O cześć imienia polskiego" przez J. Dąbrowskiego; „Książę", powieść Z. Rygier-Nałkowskiej przez Wł. Bukowińskiego. XII. Przegląd prasy polskiej, rosyjskiej i francuskiej; teatr lwowski, muzyka, nowe książki i ogłoszenia. Nadto ozdoby i winiety Bogusławskiej, Masłowskiego, Minkiewicza, Popowskiego, Wyspiańskiego, okładka J. Rembowskiego, oraz dodany osobno szkic rysunkowy Stanisława Masłowskiego.

Cena zeszytu III (str. 176) kop. 80, pocztą rb. 1.

Nowi prenumeratorzy, nadsyłający przedpłatę od kwietnia do końca roku (rb. 6) wprost do Administracyi „SFINKSA" (Miodowa 15) otrzymać mogą zeszyt III **bezpłatnie** aż do wyczerpania nakładu, płacąc tylko za przesyłkę pocztową kop. 25.

Zeszyt II „SFINKSA" jest już na wyczerpaniu i ma być wydany powtórnie

Prenumerata „SFINKSA" z przesyłką rb. 2 kwartalnie; za granicą rb. 2 kop. 50. Cena ogłoszeń za całą stronicę rb. 10, $^1/_2$ str. rb. 5, $^1/_4$ str. rb. 3.

Adres: Miodowa 15, telef. 75 31 w Warszawie.

JERZY SIMMEL

FILOZOFIA PIENIĄDZA

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁ

LEO BELMONT.

Cena rb. 2, z przesyłką rekomendowaną rb. 2 kop. 30.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy."

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, środy, piątki i soboty od 11 — 12; wtorki i czwartki od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Z powodu trudności związanych ze zmianą administracyi i redakcyi Nr. 15 *Prawdy* wychodzi z pewnem opóźnieniem i w postaci nieodpowiadającej całkowicie naszym zamysłom.

Redakcya

TREŚĆ:

Wydawca i redaktor: Paulina Sieroszewska.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.